Nr. 30 Poznań, Niedziela dnia 23 lipca 1916 Rok XX

1916

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego lub miejsca jego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:
przy czterorazow. (miesięczn.) . 15%.
" kwartalnem 13 X . 20%.
" półrocznym 26 X . 33⅓%.
" rocznem 52 X . 50%.
Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 3667.
W razie konkursu lub procesu upadają wszelkie rabaty.

„Praca" powinna znajdować się w każdym domu szczerze polskim.

Abonujcie i polecajcie „PRACĘ"

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das III. Vierteljahr 1916 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 2,00 M., mit Bestellgeld 2,12 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige .... M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den 1916

Kaiserl. Post ....

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das III Vierteljahr 1916 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 2,00 M., mit Bestellgeld 2,12 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige .... Mk. erhalten zu haben, bescheinigt

.... den 1916

Kaiserl. Post ....

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das III. Vierteljahr 1916 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 2,00 M. mit Bestellgeld 2,12 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige .... M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den.............................. 1916

Kaiserl. Post ....

Nr. 30. Poznań, dnia 23-go lipca 1916 Rok XX.

PRACA

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Piekary Nr. 20/21. Telefon Nr. 2097. OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Nowa oryentacya po wojnie.

Jak wiadoma, padło ze strony rządu hasło nowego zoryentowonia polityki wewnętrznej w Niemczech po wojnie, a echo, jakie to hasło znalazło w izbach ustawodawczych, sprawie tej zasadniczo dobre rokować się zdaje widoki.

Oczywista rzecz, że kwestya nowej oryentacyi nie u wszystkich stronnictw równe znalazła przyjęcie. Jest to rzecz zrozumiała. Są stronnictwa, które na podstawie dotychczasowego porządku rzeczy tak przemożne zapewnić sobie potrafiły wpływy, mowa tu głownie o partyach prawicowych, iż dziwić się nie można, że tylko z dość mieszanemi uczuciami oceniają postanowienie rządowe. Jest rzeczą ludzką bronić posiadanych wpływow i nie wydawać bez koniecznej potrzeby z rąk dzierżonej władzy. Każda partya, chociażby najbardziej patryotyczna, posiada pewną sumę egoizmu partyjnego, który utrudnia zgodzenie się na dobrowolne akty abnegacyi na korzyść partyj innych. Tem więcej, iż każda partya w swoich ideałach partyjnych upatruje panaceum zdolne uleczyć wszelkie niedomagania państwa. Czyż dziwić się np. konserwatyście, że obawia się ustępstw na rzecz idej liberalnych i postępowych, tem bardziej, iż ustępstwo to z natury rzeczy osłabić musi wpływ jego partyi na rozwój stosunków i zmniejszyć szanse możności redresowania nowego kursa politycznego na przypadek, gdyby rzeczywiście okazał się niefortunnym? A chodzi przecież o rzeczy nie małe. Na porządku zagadnień domagających się rozwiązania znachodzi się p. i. kwestya tak ważna i doniosła w skutki jak zmiana systemu wyborczego w Prusach, na którym to systemie opiera się cały wielki wpływ partyi konserwatywnej w tym kraju, powtóre sprawa nowej oryentacyi polityki antypolskiej, tej polityki, której partye prawicowe najbardziej przekonanymi były rzecznikami, upatrując w możliwie najbezwzględniejszem jej zastosowaniu jedynie skuteczną drogę rozwiązania jednej z najtrudniejszych kwestyj wewnętrznych niemieckich.

Nie dziwić się tedy, że prawicowcy z dość wyraźnym niepokojem patrzą w przyszłość, tem bardziej, o ile u obecnego rządu, nie widzą tej uległości wobec siebie, do jakiej ich historya czasów przedwojennych przyzwyczaiła.

Straszą ich również rozbudzone apetyty stronnictw do niedawna mniej mile u rządu widzianych, a obecnie pod wpływem stosunków cieszących się jego względami. Toż nawet socyaliści potrafili zbliżyć się do rządu, a kanclerz niejednokrotnie dał do zrozumienia, iż nie wykluczona jest możliwość, że i ta partya, o ile obecna jej oryentacya w kierunku narodowym okaże się trwałą, może liczyć na przychylność rządu.

Już z tego ogólnego położenia rzeczy wnosząc, zrozumieć nie trudno, dlaczego rząd ograniczył się jedynie na zapowiedzi nowej oryentacyi i okazuje się głuchym na wszelkie zawezwania do realizowania jej już teraz podczas trwania wojny. Łatwo pojąć, chociaż trudniej się z tem pogodzić, że walkę o te zmiany odsuwa się do czasu, kiedy zawita tyle upragniony pokój zewnętrzny. Póki trwa wojna, rządowi zależeć musi na utrzymaniu pokoju wewnętrznego i wewnętrznej spoistości narodu, któraby może nie wytrzymała tak znacznego obciążenia, czem niewątpliwie będą rozprawy nad nową oryentacyą polityki wewnętrznej.

Z drugiej strony rzeczą jest zrozumiałą, że ci, którzy po przeprowadzeniu nowej oryentacyi spodziewają się korzyści dla siebie, nie mogą się doczekać zapowiedzianych zmian i pragnęliby już dzisiaj otrzymać chociażby zadatek tych błogosławieństw. Jakoż nie brak i głosów, które rząd pchają w kierunku reformistycznym, a w wyczekującem stanowisku rządu poczynają upatrywać złą wróżbę dla swych nadziej. Każdy pragnąłby nareszcie wiedzieć, co otrzyma, jakie będą najogólniejsze przynajmniej linie tej zapowiedzianej nowej polityki, a tu trzeba się zadowolić ogólnikami, które tłumaczyć można bardzo rozmaicie, ogólnikami, jak wszelkie ogólniki, elastycznemi, mogącemi oznaczać dużo i mało, a gdy kto chce koniecznie, nawet okazać się w praktyce pogorszeniem stanu obecnego.

Że to wyczekujące stanowisko rządu — szczególnie o ile chodzi o politykę polską — w dużej mierze przyczyniło się do tego, że w pewnych kołach polskich nie może się jakoś uruchomić aktywna polityka, że bierność polityczna jest wciąż jeszcze znamieniem dość znacznej części naszego społeczeństwa — wątpliwości ulegać nie może. Społeczeństwo nasze tak silnie przejęło się

tradycyami polityki negatywnej, antyrządowej, iż już neutralność obecna poniekąd przedstawia się jako postęp, neutralność ta zaś silniejszego potrzebowałaby stimulantium niż gołosłowne obietnice, aby zamienić się w akcyę pozytywną.

Trzeba mieć dużo wiary, dobrej woli i ufności, aby po doświadczeniach ubiegłych lat wykrzesać w sobie ten optymizm, który nieodzowny jest do każdej silnej akcyi pozytywnej. Nie każdego stać na to. To niechaj przemyślą ci, którym bierność części społeczeństwa polskiego wydaje się kamieniem obrazy, a nawet asumptem do podejrzeń o moskalofilizm, zgoła nieuzasadnionych.

Tej bierności części Polaków przeciwdziała wprawdzie polityka niemiecka w Królestwie i powoli, lecz stale wzmaga w umysłach polskich puls optymizmu, lecz z drugiej strony pilnie w kołach polskich śledzona literatura hakatystyczno - wszechniemiecka tłumi rozwój tego nastroju... I istotnie, gdyby po wojnie przyszli do steru politycy tego typu, co np. ks. Bülow, w co — pytać się godzi — zamieniłyby się wszelkie obietnice nowej oryentacyi polityki antypolskiej? — Czyż absolutna lojalność Polaków podczas trwania tej wojny okropnej, czyż krew polska rozlana tak obficie na wszystkich pobojowiskach wschodu i zachodu zmieniła choćby tylko o jotę zapatrywania księcia na najgłębszą istotę stosunku niemiecko-polskiego, czyż nasunęła mu myśl, iż naród, który tak wiernie i dzielnie spełnia wszelkie (nawet najcięższe) obowiązki wobec państwa, zasługuje na to, aby przestano go uważać na żywioł nie pożądany w granicach państwa, za żywioł będący zarzewiem niebezpieczeństwa dla tegoż państwa, czyż przychodzi mu na myśl, że należałoby pogrzebać topór wojenny i przy dymie fajki pokojowej pracować nad usunięciem starych sporów i usiłować wytworzyć stosunki, któreby obie strony zadowolić mogły? — Nic z tego. Nie odmawia nam szacunku, a nawet podziwu, ma pełne zrozumienie dla tragiczności naszego losu, a jednak naucza, iż pruska racya stanu i nieubłagany interes narodowy niemiecki wymaga walki o niemieckość dzielnic polskich, walki w interesie kultury, oświaty i języka niemieckiego, a ponieważ — jak nie może być inaczej — ta walka zwracać się może jedynie przeciw nam, przeto w rezultacie wychodzić musi na walkę z polskością i Polakami.

I my rozumiemy, iż żadne państwo nie wyrzecze się dobrowolnie krajów, które posiada, rozumiemy, że używa wszelkich środków służących do wzmocnienia i utwierdzenia więzów łączących dane kraje z państwem, jednakże sądzimy, że nie we wszystkich sprawach ludzkich walka jest na miejscu. Sądzimy raczej, że rozumne i wyrozumiałe traktowanie należących do państwa narodowości obcych potężniejszym jest cementem, niż najzmyślniejsze ich zwalczanie.

Nie spostrzegamy, aby ks. Bülow był nauczył się czego z tej strasznej lekcyi, jaką światu udziela niemiłosierna wojna obecna, przynajmniej nie nauczył się niczego w stosunku do Polaków...

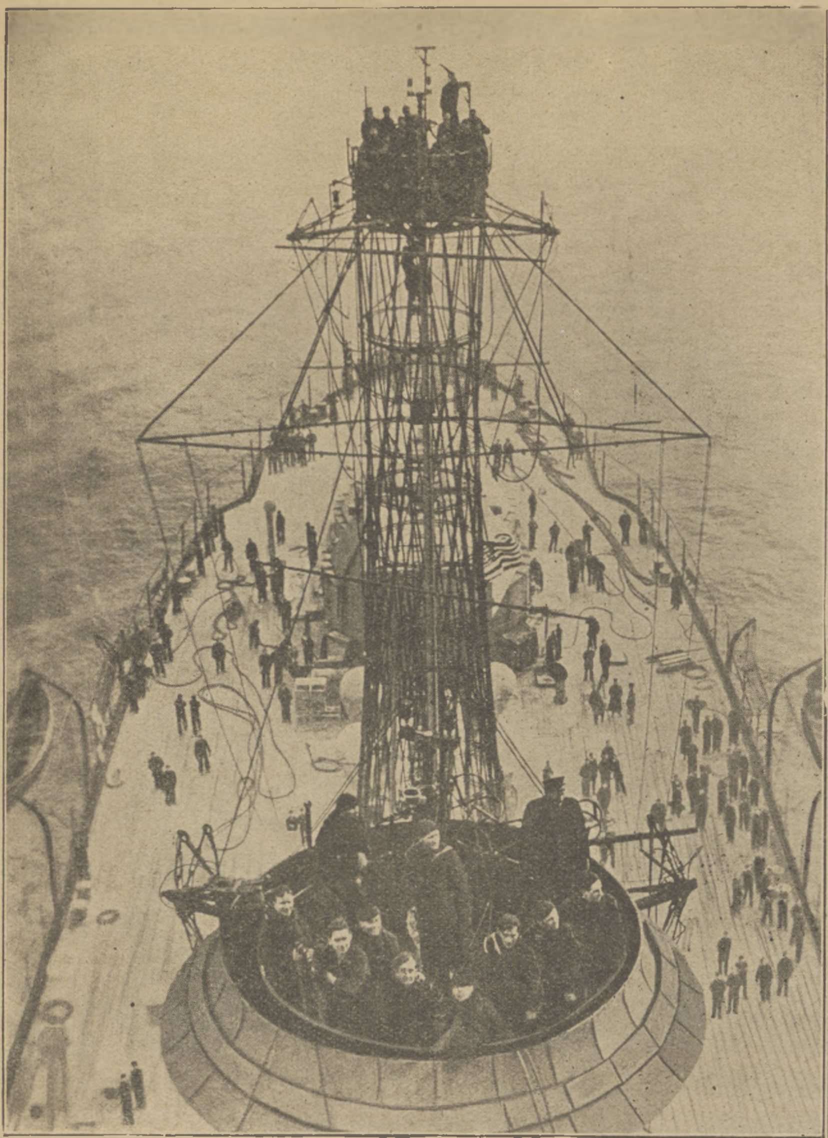


Na tle ofenzywy rosyjskiej. — Miasto Łuck na Wołyniu, zajęte przez Rosyan.
Łuck, jeden z najstarszych grodów Wołynia, liczący przeszło 14000 mieszkańców, leży nad rzeką Styrem. Z warownego niegdyś zamku, wzniesionego na wysokim brzegu rzeki, która go z trzech stron oblewa, pozostały zwaliska. W r. 1429 odbył się tu świetny zjazd, w którym wzięli udział cesarz niemiecki Zygmunt, król polski Jagiełło, Wielki książę Witold, mistrz krzyżacki, w. książę Moskwy, hospodar wołoski i dwóch hanów tatarskich. Powodem zjazdu było dążenie Witolda, aby otrzymać koronę królewską na Litwie, do czego namawiali go Zygmunt i Krzyżacy. Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski i kanclerz królewski, przeszkodził tym zamiarom, które miały na celu rozerwanie związku Polski z Litwą.

O ile bardziej pojętnymi uczniami okazali się Polacy! Nawet ci z pośród nich, których właśni ziomkowie uważać byli zwykli jako niczem nie pouczonych doktrynerów.

Otóż „Kuryer Poznański" rozpatruje dylemat zachodzący pomiędzy polityką narodową narodu pozbawionego państwa, a polityką państwową pozytywną, która natychmiast winna zająć miejsce pierwszej, z natury swej negatywnej, skoro dany naród byt państwowy uzyska. „Wówczas — pisze — i pojęcie polskiej racyi stanu musi się skrystalizować, pojęcie, które dziś nam jest zupełnie obce." Ale jak pojmuje „Kuryer Pozn." tę „polską racyę stanu," czy tak jak książe Bülow i jemu podobni politycy: w dążenie dla możliwie największego ujednolicenia narodowego kraj zamieszkującej ludności? Zupełnie przeciwnie. Bo otóż, co pisze: „Wzgląd na dobro państwa (śc. polskiego) będzie nakazywał przytłumienie

NA MORZACH.



Amerykański okręt wojenny „New Jork", widziany z wieży na moście Manhattan w Nowym Jorku.



Angielski admirał Jellicoe na swoim okręcie.

cie nie znalazł urzeczywistnienia, a chyba Korea nie jest przykładem zachęcającym. Historya ustanowiła nieprzyjaźń pomiędzy narodem a państwem narodowem. Nigdzie państwo w swych granicach nie zamyka całości jako tako liczebnie znacznych narodów i kto wie, czy to położenie rzeczy nie wychodzi na korzyść państw i narodów, które w razie przeciwnym możeby zakrzepły i zgnuśniały, w sytym i bezdusznym kwietyźmie.

Jak tedy słusznie przewiduje „Kuryer Poznański," że i przyszłe państwo polskie nie połączy wszystkich bez wyjątku Polaków i od tych, którzy po za granicami państwa pozostaną, żąda, aby „skoordynowali swe dążenia z interesem nowego polskiego organizmu państwowego," tak przypuszczać należy, bezwględności metod i środków polityki czysto narodowej, prowadzonej w warunkach bezpaństwowych. Polacy, którym zorganizowanie państwa przypadnie w udziale, pozbyć się będą musieli całego balastu przeżytków pojęciowych i uczuciowych. Bez uprzedzeń, bez dogmatów krępujących, bez jednostronnych uczuciowych sympatyj i antypatyj będą musieli sternicy nawy państwowej ustalać kurs nowej polityki. Wielkie idee swobody narodowej i obywatelskiej, oraz sprawiedliwości wobec słabych i małych, stać będą u kolebki przyszłej Polski."

Oto prawdziwie polskie, politycznie mądre słowa, wyjęte z duszy każdego Polaka, a tak zgodne z wielką tradycyą tolerancyjnej Rzeczypospolitej, która przez setki lat panowała nad szeregiem obcych narodów, a tak potrafiła narody te przywiązać do siebie, że ludność obcojęzyczna nie tylko że nie grawitowała do współplemiennych państw ościennych, lecz z bronią w ręku przeciwiała się aneksyi z ich strony. Pamiętne jest powstanie niemieckiej ludności wschodnio-pruskiej przeciwko aneksyi brandenburskiej i długotrwały opór niemieckiego Gdańska przeciw wcieleniu do państwa pruskiego.

Ideał państwa narodowego nie koniecznie jest dobrym ideałem. Za jedynym bodaj wyjątkiem byłego państwa koreańskiego ideał ten nigdzie na świeże do przyszłej Polski należeć będą nie tylko imigranci obcej narodowości, lecz na zwartych terytoryach mieszkające ułamki innych szczepów, wobec których państwo uprawiać będzie musiało rozsądną i pojednawczą politykę, aby nie dopuścić do wytworzenia się wśród nich dążności odśrodkowych, które je-

dynie wolność i sprawiedliwość przezwycięża, a wszelki ucisk stwarza i pogłębia.

Naszem zdaniem nowa Polska nie może sprzeniewierzyć się najistotniejszym ideałom Polski starej. Tak jak tamta w idei, nowa Polska w rzeczywistości winna być ojczyzną ludzi wolnych i wolność cudzą szanujących. Żaden obywatel nowej Polski nie powinien mieć słusznego powodu do skarg, że jego prawa osobiste, obywatelskie, religijne, językowe nie doznają poszanowania, a nawet obrony.

Tak my pojmujemy dążenie do zrealizowania podstawowego postulatu racyi stanu, która winna starać się o wytworzenie z ludności pewnego i niezawodnego budulca państwowego. Wspólność językowa i wyznaniowa bardzo jest pożądana i ułatwia robotę, lecz nie jest warunkiem nieodzownym. Gdzie tej wspólności niema, tam należy państwo z góry urządzić tak, aby ono służyło odrębnościom narodowościowym, bo tylko tą drogą zdoła się wytworzyć w ludności patryotyzm państwowy, który istnieć może bez względu na różnice językowe i wyznaniowe. Czy np. Niemiec-katolik mniej kocha ojczyznę niemiecką niż protestant, czy Flamand jest gorszym patryotą belgijskim niż Walon, czyż niemieccy, włoscy i francuscy obywatele równo nie kochają Szwajcaryi, czy nie broniliby jej z wydatkiem sił wszystkich, gdyby ościenne państwa równoplemienne przystąpić zechciały do jej podziału? Podczas gdy z drugiej strony nikt Irlandczyka, chociaż od generacyj całych mówi po angielsku, nie nazwie patryotą angielskim....

Zapewne, że łatwiej i prościej jest kierować państwem pod względem językowym i wyznaniowym jednolitem. Łatwiej jest rządzić Francyą np. niż Austryą, ale nie zapomnijcie, że państwo im bardziej się ujednostajnia, tem więcej traci na mocy werbującej na zewnątrz, tem bardziej zatraca cechę uniwersalizmu, tem bardziej oddala się od obrazu ludzkości, której cechą jest rozmaitość i różnolitość, a ideałem wytworzenie harmonii z mnóstwa tonów odmiennem dźwięczących brzmieniem.

Ostatecznie bowiem i państwo nie jest sobie samo celem, lecz środkiem do celu. Celem zawsze pozostanie człowiek, duch i dusza jego, kultura ludzka, której bogactwo polega na różnorodnem i rozmaitem uzdolnieniu indywiduów. Dary te pielęgnować i rozwijać, wytwarzać grunt sposobny do najpełniejszego, najświetniejszego ich rozkwitu — oto szczytne zadanie państw, nie zaś krępować je i spaczać przez ingerencyę brutalnego gwałtu w dziedzinę, której żywiołem uporządkowana swoboda.

Wierzymy, że wojna obecna jest etapem dalszym w drodze rozwojowej świata w kierunku ideału. Wstrząśnie ona potężnie zmurszałemi piedestałami fałszywych idoli, do których się ludzkość zbłąkana modliła, i zbliży nas do poznania i urzeczywistnienia prawdy i sprawiedliwości w stosunkach ludzkich.



Echa bitwy morskiej pod Skagerak.
Powitanie deputacyj zwycięskich załóg przez senat miasta Hamburga.

Podobno więcej kupują książek do nabożeństwa aniżeli romansów, ale za to romansów więcej czytają.

Aloizy Żółkowski.

Ważna ustawa.

Jak wiadomo, mają poszkodowani na zdrowiu żołnierze, żony i dzieci nieletnie poległych, w pewnych przypadkach także ich rodzice, prawo do renty państwowej.

Aby umożliwić poszkodowanym przez wojnę osobom zakupno gruntu lub też polepszenie już posiadanego gospodarstwa, wyszła świeżo nowa ustawa o skapitalizowaniu renty.

Myślą przewodnią nowej ustawy jest zamiar udzielenia poszkodowanym w miejsce corocznych, cząstkowych, a zatem mniejszych wynagrodzeń, od razu całej na nich przypadającej sumy. Praktyczność tej ustawy każdy łatwo zrozumie, boć jasną jest rzeczą, że większa suma naraz wypłacona, o ile ją się lukratywnie umieszcza, większą stanowi zapomogę, niż małe corocznie wypłacane kwoty. Drobne kwoty się zużywa, większa suma może się stać podwaliną bytu rodziny.

Uregulowanie kwestyi renty wojennej w ten sposób służy jednakże nietylko poszkodowanym, lecz także państwu i społeczeństwu, ponieważ popiera tyle palącą sprawę kolonizacyi wewnętrznej, utwierdzając ludność na wsi, broniąc jej przeciw nędzy, a zatem przeciwko doktrynom socyalistycznym i zapewniając rolnictwu robotnika.

Jesteśmy na szczęście w tem miłem położeniu, że możemy te obawy uspokoić.

Noweli osadniczej niestety dotychczas nie zniesiono jeszcze, jednakże Koło polskie otrzymało od rządu inne gwarancye, zapewniające sprawiedliwe traktowanie Polaków.

Według uroczystych obowiązujących z jaką sumiennością te władze właśnie w sprawach rentowych pracują, będzie im tylko najlepsze mógł wystawić świadectwo i zaufania im nie odmówi. Jednakże w interesie poszkodowanych będzie, jeżeli także z innej strony znajdą się zaufani doradcy, którzy poszkodowanym dopomogą do uzyskania dobrodziejstw płynących z ustawy.



Miejsce spotkania pierwszych patroli niemieckich i bulgarskich, upamiętnione pomnikiem.

Skapitalizowana renta bowiem w najlepszym nawet wypadku nie będzie tak znaczna, aby umożliwiała zakupienie gospodarstwa, z któregoby się rodzina utrzymać mogła. Wystarczy co najwyżej na zakupienie kilku morgów i wybudowanie koniecznych budynków. Co braknie do utrzymania, będzie trzeba dorobić przez przyjmowanie pracy w gospodarstwach i dominiach sąsiednich.

Jak wiadomo, rolnictwo niemieckie cierpiało na brak sił roboczych, gdyż robotnicy rolni przenosili się do miast, ich miejsce zaś zajmowali robotnicy sezonowi, których setki tysięcy corocznie napływało z Polski i skądinąd do Niemiec. Po wojnie nie będzie można liczyć na robotnika zagranicznego, ponieważ i zagranica będzie swoich robotników potrzebowała u siebie. Należy zatem zawczasu myśleć o zapewnieniu rolnictwu robotnika, czemu omawiana ustawa służy w sposób bardzo dodatni, gdyż przynosi korzyść jednej i drugiej stronie.

Powiedzieliśmy, że ustawa ta idzie na rękę kolonizacyi wewnętrznej. Tu zastanowi się niejeden czytelnik i powie: w takim razie ustawa ta dla nas jest bez znaczenia, a bodaj nawet szkodliwa, gdyż rząd będzie osadzał Niemców, a Polaków na podstawie noweli osadniczej, która zabrania budowania domów mieszkalnych na parcelach, wykwituje.

oświadczeń rządu przez usta tak ministra wojny jak dyrektora ministeryalnego dra Lewalda i ministra rolnictwa pruskiego, ani religia ani narodowość uprawnionych do otrzymania skapitalizowanej renty nie będzie stanowiła przeszkód do otrzymania kapitału i do osiedlenia się i pobudowania na parcelach. Oświadczono jak najwyraźniej, że Polacy będą korzystali z tych samych praw co Niemcy, że prezesi naczelni obowiązani są dawać poświadczenia potrzebne do utworzenia osad, słowem, że za jedynym wyjątkiem okolic zastrzeżonych dla kolonizacyi niemieckiej, wszędzie indziej, nawet tam, gdzie kolonizacya niemiecka nabyła mniej znaczne przestrzenie areału, Polacy będą się mogli osiedlać w zwartych masach i jednostkowo.

Tak tedy możemy z zaufaniem odnosić się do tej ustawy, tem bardziej, że wszystkie gwarancye, o których powyżej mowa, udzielone nam zostały z wyraźnem zezwoleniem i współdziałaniem stronnictw niemieckich. Jedynie konserwatyści byli nam przeciwni.

Skoro tedy tak doniosła pod względem społecznym i ekonomicznym ustawa istnieje, należy z niej należycie korzystać.

Niewątpliwie władze wojskowe udzielą interesowanym należytej w tej mierze porady i sprawę na prawdziwą nakierują drogę. Kto miał sposobność przyjrzenia się

Społeczeństwo nasze posiada organizacye odpowiednie, które niewątpliwie swój obowiązek wypełnią. Przestrzegać jednak trzeba najusilniej przed udawaniem się do niesumiennych pokątnych pisarzy, którzy — jak tego liczne przykłady uczą — wyzyskują ludzi niekiedy w sposób wprost przechodzący imaginacyę wszelką.

Z NASZYCH SPRAW

Z biura Prow. Komitetu wyborczego

otrzymujemy co następuje:

Z powodu śmierci dotychczasowego posła Vierecka odbędą się wybory uzupełniające do sejmu pruskiego z okręgu czarnkowsko-wieleńsko-chodzieskiego dnia 23. sierpnia względnie 6. września rb. Wobec przewagi liczebnej wyborców (walmanów) niemieckich, nie mamy w powyższym okręgu żadnych widoków zwycięstwa.

Z tego powodu i ze względu na obecne stosunki wojenne wzywamy niniejszem wszystkich wyborców Polaków, żeby w po-

wyższych wyborach uzupełniających żadnego udziału nie brali.

Poznań, dnia 13. lipca 1916 r.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na Wielkie Księstwo Poznańskie.

Stefan Cegielski, prezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz.
Władysław Jerzykiewicz, skarbnik.



Angielski generał W. K. Robertson.

Zabiegi o dowóz żywności z Ameryki do Królestwa Polskiego

rozbiły się ostatecznie o warunki stawiane przez Anglię, które państwa centralne uznały za niemożliwe do przyjęcia. Smutna to dla nas wiadomość. Polska więc zdana jest na siebie, swą oszczędność, zapobiegliwość i nieustanną ofiarność rodaków, posiadających więcej od tych, którzy stracili wszystko. Aktualna ta sprawa dla Polski, sprawa odmówienia rodakom naszym żywności z Ameryki, powinna się stać dla nas nowym bodźcem do dalszych, tym obfitszych datków i ofiar na nędzę w Polsce. Nie ustawajmy w tem, a przeświadczenie, żeśmy Polskę utrzymali sami, bez cudzej pomocy, będzie dla nas najpiękniejszą nagrodą. Weźmy sobie za przykład Polaków w Ameryce, wśród których akcya pieniężna na rzecz niesienia pomocy naszym nieszczęśliwym braciom w Królestwie nie ustaje ani na chwilę. Świeżo znowu wydali Polacy amerykańscy gorącą odezwę w tej sprawie, kończącą się temi słowy: „Polska z głodu kona — a my syci, w dostatkach i wygodach pędzimy żywot bez troski. To starczy chyba każdemu, kto nosi polskie imię, za najwymowniejszy apel."

W powyższej sprawie otrzymał paryski „Journal" telegram z Waszyngtonu, że Wilson zamierza osobiście zwrócić się do panujących państw europejskich, by w ten sposób osiągnąć porozumienie w sprawie dowozu żywności do Polski. Także Polacy w Chicago na obchodzie uroczystym Konstytucyi 3. Maja w Chicago, uchwalili rezolucyę, w której postanowili wysłać bezzwłocznie do Wilsona delegacyę złożoną z reprezentantów całego naszego wychodźtwa z usilną prośbą, aby raczył imieniem amerykańskiego rządu wdrożyć jak najenergiczniejsze kroki celem uzyskania od rządów prowadzących wojnę państw europejskich pozwolenia na dostarczanie żywności i odzieży z Ameryki dla ginącej masowo z głodu, wycieńczenia i chorób, niewinnej ludności na ziemiach polskich pożogą wojny objętych.

* * *

Nominacya biskupów.

Po pięciu latach osierocona po śmierci śp. biskupa Karola Niedziałkowskiego dyecezya łucko-żytomierska doczekała się nominacyi biskupa, którym został mianowany ks. Ignacy Dubowski, dr. prawa, szambelan Jego Świątobliwości, kanonik honorowy kapituły mohylowskiej, proboszcz katedry żytomierskiej. Biskupem sufraganem mianowany został ks. Michał Godlewski, dr. teologii, szambelan Jego Świątobliwości, kanonik honorowy kapituły warszawskiej, prof. akademii duchownej w Piotrogrodzie.

Konsekracya obu biskupów odbędzie się w najbliższym czasie.

Na skutek interwencyi Ojca św. rząd rosyjski pozwolił ks. biskupom: Karasiowi i Karewiczowi na powrót do ich dyecezyj.

* * *

Wynik wyborów warszawskich

świeżo ukończonych do Rady miejskiej jest niezaprzeczonym dowodem dojrzałości politycznej i zrozumienia najistotniejszych interesów ze strony ludności stolicy Królestwa Polskiego. Charakter polski Rady jest w zupełności zapewniony; zarówno nacyonalizm żydowski jak i kosmopolityczny socyalizm są w niej reprezentowane kilku zaledwie głosami.

Przyszła Rada miejska złożona z 90-ciu radnych liczyć będzie 19 członków żydowskich. Zaznaczyć przy tem należy, że dość znaczna liczba tych radnych żydowskich zalicza się do tak zwanych asymilatorów, którzy w sprawach narodowych pójdą podług wszelkiego prawdopodobieństwa ręka w rękę z radnymi Polakami.

* * *

Otwarcie Banku Ziemiańskiego w Warszawie.

Dnia 5. lipca Bank ziemiański rozpoczął swoje czynności ceremonią poświęcenia siedziby. Na czele rady głównej stanął p. Dzierzbicki, dyrekcyę objął p. E. Korwin-Szymanowski. Kapitał zakładowy Banku ziemiańskiego tworzą 3 miliony rubli, udzielone przez Towarzystwo kredytowe ziemskie.

W dzisiejszych czasach, gdy podstawy naszego życia ekonomicznego ze wszystkich stron są zagrożone, Bank ziemiański dla rolnictwa w Królestwie odegra ważną rolę. Przybywa jeszcze jedna instytucya, która w codziennej, zmudnej pracy wspomagać będzie potrzebujące pomocy finansowej gospodarstwa wiejskie. Oby wspomagała je najskuteczniej!

* * *

Zjazd Kółek Rolniczych w Warszawie.

W ostatnim czasie w Warszawie odbył się zjazd delegatów Kółek rolniczych. Zjazd ten ma poważne znaczenie, już nietylko ze względu na to, że jest równoznacznym z uruchomieniem tych instytucyj, lecz również, że ogólną tendencyą jego jest rozszerzenie działalności Kółek rolniczych, którą to potrzebę jaskrawie wykazała obecna wojna.

Na zjeździe wygłoszono szereg referatów i w dyskusyi nad niemi przeprowadzono szereg uchwał. Podkreślić należy uchwałę, wzywającą do zwalczania pijaństwa i karciarstwa na wsi. Z ważniejszych uchwał przytoczyć należy: 1) konieczne jest jak najszybsze wprowadzenie w życie związku kas pożyczkowych rolnych, bez którego prawidłowy rozwój istniejących spółek w obecnych czasach jest niemożliwy, przy równoczesnem dążeniu do oddziaływania na gminy, aby uruchomiły kasy gminne; 2) pożądane byłoby zjednoczenie działalności zawodowej rolniczej i oświatowej w jednej organizacyi i połączenie się kółek w C. T. R. z kółkami Staszycowskiemi; 3) nie umniejszając znaczenia dotychczasowej zawodowej działalności kółka rolnicze powinny rozszerzyć swą działalność, objąć inne zadania, jako to: urabianie opinii na wsi, wychowanie i kształcenie młodzieży.

W tym celu C. T. R. porozumie się z odpowiedniemi instytucyami oświatowemi i za pośrednictwem kółek będzie torować drogę ich działalności na wsi.

Na zakończenie zjazdu przeszedł jednogłośnie wniosek wyrażający cześć i wdzięczność arcybiskupowi gnieźnieńsko-poznańskiemu ks. drowi Dalborowi i Henrykowi Sienkiewiczowi za pomoc okazaną Królestwu.

* * *

Polska pielgrzymka do grobów polskich w Montmorency.

Pielgrzymka tegoroczna do Montmorency, jak pisze „Polonia" paryska, zgromadziła już dawno niewidziane tłumy rodaków i przyjaciół Polski.

Weterani z 1863 roku, szkoła polska, zakład św. Kazimierza, Towarzystwo literacko-artystyczne, przebywający chwilowo w Paryżu przedstawiciele wszystkich warstw społecznych wszystkich stanów i nawet wszystkich wyznań podążyli na uroczystość tak licznie, że na kolei zabrakło biletów do Montmerency.

Nabożeństwo doroczne odbyło się niezwykle uroczyście, bo w przybranej emblematami polskiemi kaplicy. Nabożeństwo celebrował ks. Postawka.

* * *

Z życia wychodźtwa polskiego w Ameryce.

Od czasu wybuchu obecnej wojny europejskiej można zauważyć wśród Polonii amerykańskiej głosy ostrzeżenia, iż wskutek nagłego i zupełnego ustania polskiego przychodźtwa do Stanów Zjednoczonych zacznie się szybko rozwijać proces amerykanizacyjny w polskiem wychodźtwie w Stanach Zjednoczonych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że polscy emigranci z Europy w znacznym stopniu podtrzymywali i ożywiali polskiego ducha wśród społeczeństwa polskiego w Ameryce, oni to prowadzili na każdym kroku agitacyę polską. Nagła utrata wielkiej liczby tych działaczy spowoduje pewne osłabienie tętna życia polskiego i młodzież polska w Ameryce będzie łatwiej ulegała amerykanizacyi nie mając silnego przeciwdziałania ze strony świeżo napływających przybyszów.

Polskie pisma amerykańskie zaznaczają wobec tego, że jest to sprawa niezmiernie ważna. Niema wprawdzie obawy o zamerykanizowanie, lub wynarodowienie starszej części naszego polskiego społeczeństwa w Ameryce, lecz istnieje niebezpieczeństwo dla młodzieży, już na ziemi amerykańskiej się rodzącej. Starsza część społeczeństwa polsko-amerykańskiego będzie stopniowo wymierać, a jej miejsce będzie zajmować młodsze pokolenie polskie, które na ziemi amerykańskiej się rodzi. Cała więc przyszłość polskiego wychodźtwa w Stanach Zjednoczonych spocznie jedynie i wyłącznie na tem młodszem pokoleniu i jeżeli to młodsze pokolenie będzie się swobodnie coraz bardziej wynaradawiać i ginąć dla polskości, to znaczy to, że i przyszłe polskie wychodźtwo w Ameryce będzie coraz bardziej wynarodowione, zacznie coraz szybciej zanikać jako „polskie".

Uratowanie młodego polskiego pokolenia od wynarodowienia i amerykanizacy jest więc dla wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych sprawą najwyższą od której zależy jego istnienie.



Generał Li Juan-Hung, nowy prezydet republiki chińskiej.

Jan Długosz,

dziejopis i statysta piętnastego stulecia.

Wspomnienie historyczne,

skreślone

w 500-letnią rocznicę jego zgonu

(1415—1915).

(Ciąg dalszy).

IV.

Przychodzimy teraz z kolei do najcelniejszego utworu Długosza, do tak zwanej jego „Kroniki", czyli „Historyi Polski".

Po śmierci Janka z Czarnkowa, zmarłego na kilkanaście lat przed przyjściem na świat Długosza, cisza zalegała pole naszego historycznego piśmiennictwa, aż powstał mąż wielki w radzie, tudzież w aeropagu uczonych krajowych, który, rządząc się myślą obywatelską, nakazującą mu zostawić potomnym opis życia własnego narodu ujął rylec dziejowy, i Polska ujrzała pierwszego dziejopisa, wzbijającego się swą pracą ponad wyżyny piśmiennicze epoki piastowej.

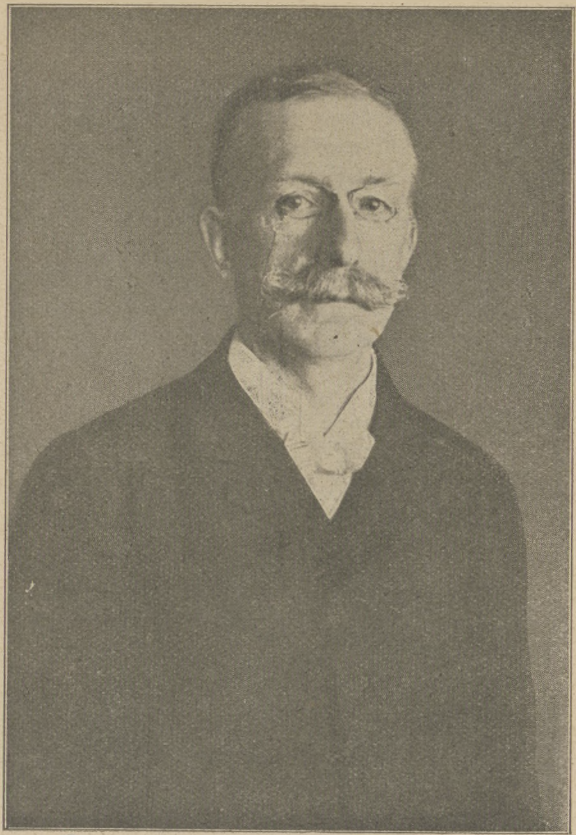
Wieki późniejsze, słusznie oceniając wysokie historyczne zasługi Długosza, przyniosły mu tytuł ojca naszych dziejów.

„Słodko jest, — powiada historyk na jednej z kart swej „Kroniki" — obcować z przodkami dawnych mężów, czyny i zdania objąć pamięcią i nad świetnemi ich dzieły rozmyślać..."

Rozmiłowany w przeszłości krajowej, takie daje on piękne określenie dziejów: „...Znajomość historyi swojej i obcej, niemniej jak i filozofia, jest matką cnoty i przewodniczką życia; nie mniejsze od filozofii przynosi ona korzyści rodzajowi ludzkiemu. Bo chociaż filozofia nakłania ludzi do cnoty, jednakże do wielkich przedsięwzięć i czynów historya silniejszy daje popęd i dzielniejsze pobudki." „Historya sprawia rozkosz i pożytek zarówno światłym, jak ciemnym ludziom; nie wykładając prawideł, nie podając nauk, nie rozprawiając, nie spierając się, lecz wskazując czyny i przewagi znakomitych mężów, uczy poznawać cnotę, ubiegać się za sławą i szacować wysokie zaszczyty, cała bowiem zawiera dzieje najzacniejszych ludzi i pamięć największych zdarzeń; dlatego też jedynie historya szlachetne serca żądzą nieśmiertelnej sławy zapala."

Prace swe około dziejów rozpoczął Długosz w roku śmierci kardynała Oleśnickiego (1455 r.) i prowadził je wytrwale w ciągu dwudziestu pięciu lat, bez względu na mnóstwo przeszkód, co go spotykały, oraz

na trudności zebrania stosownego materyału. Dla tego czynnego, pełnego energii umysłu, wobec wewnętrznego przekonania, iż czyni to dla dobra i sławy społeczeństwa, upadały trudności. Pokonywał je długim, cierpliwym znojem pracy. Z właściwą sobie obywatelską sumiennością rozpoczął Długosz studya historyczne, których wyniki już nieznane, bo zatracone bezpowrotnie; przygotowywał się zaś do swych studyów dziejowych z taką czcią dla przeszłości, z tak szczytną miłością społeczeństwa, iż wynik tych prac powinien być i był zaiste, wielkim, jak na swój wiek i rozwój tamtoczesny nauki historycznej u innych ludów. Budowa dziejów, wzniesiona przez Długo-



Hoffman, członek szwajcarskiej Rady związkowej,
znany ze swego oświadczenia w sprawie pokojowej.

kiem była jego cenna „Kronika“. Zwiedza przeto archiwa, odtwarza ułamki osiwiałych podań, nadaje życie okruchom, okrytym pleśnią długich wieków. Nie poprzestaje na własnych źródłach, lecz czerpie i u obcych: każe zatem tłómaczyć dla siebie roczniki niemieckie, Kronikę Wiganda z Marburga i innych. Sam zaś, ku powszechnemu podziwowi współczesnych mu i potomnych, uczy się w późnej dobie lat rusińskiego języka, aby mógł korzystać z szacownej kroniki pieczarskiego mnicha Nestora i litewsko-ruskich rocznikarzy. To ostatnie usiłowanie, tworząc tak chlubną charakterystykę niezmordowanych znojów dziejopisarza, w sto lat po jego zgonie znajduje naśladowcę w Macieju Stryjkowskim, gdyż pracowity ów mąż w dojrzałym już wieku jął się nauki języka litewskiego, zabierając się do napisania dziejów Litwy.

Długosz, jak sam nam powiada, przedsiębrał nawet podróże dla zbadania rozproszonych źródeł, co wszakże nie wyczerpało obcych materyałów, z których korzystali późniejsi nasi badacze dziejowi. Nie znał Długosz Dytmara, nie znał i innych rocznikarzy cudzoziemskich, a wogóle zbyt wiele ufał każdemu świadectwu latopisców, dając piśmiennemu podaniu niezmierną wiarę. Miał on jednak pod ręką i źródła, dziś już nieznane... sza, pierwsza odemknęła nam bramę nieśmiertelnej sławy, zanim później dokładniej zbadane życie i prace obywatelskie nie umieściły jego imienia w zastępie wielkich mężów narodu, którzy się stali dźwignią przyszłości krajowej. Jak chętnie zbierał on źródła do osnowy swej pracy, najlepiej o tem świadczą własne jego słowa, wypowiedziane w liście do Jana z Opatowic, biskupa chełmińskiego, w którym wyraźnie oświadcza, iż: „starał się wcielić do swych dziejów wszystko, co przed nim o Polsce pisano“.

Zamieszczamy tu kilka myśli historyka, wskazujących stanowisko, z jakiego się zapatrywał na dzieje i pobudki, które go skłoniły do tej pracy pomnikowej.

„...Gdy wszyscy ludzie pragną oświecić się, — pisze on na kartach swej historyi, — a tylko długie życie, pilne nad przeszłością rozmyślanie i doświadczenie człowieka naucza; ten, co się wczyta w dzieje czasów minionych, pozna czyny narodów i królestw, zamiary, rady, wojny i losy, w krótkim czasie i małym trudem najwyższej nauki dostąpi. Młody, znający dzieje, prześcignie, a przynajmniej doświadczeniem i światłem wyrówna starym, którzy jednego tylko wieku świadkami być mogli. Co, gdy tak jest, gdzież tak mało baczny, któryby tej nauce kilku chwil nie chciał poświęcić? Ona serca młode do sławy zapala jest rozkoszą starych, ozdobą w pomyślności, w nieszczęściu zdrową radą i najpożyteczniejszą bywa dla kraju. Bo nietylko już czyny ludzkie, nietylko niespodziane losu i natury igrzyska opisuje, lecz przyczyny wszystkiego i powody tłómaczy, mowy i myśli ludzkie potomnym podaje. Znajomość świetnych czynów buduje dobrych, zbrodnie zaś przewrotnych, w historyi opowiadane, błądzących wiodą do poprawy. Całemi więc siłami powinniśmy się rzucić do owej nauki, która i rozum zaostrza i do dobrego rządzenia Rzecząpospolitą niemało przyczynić się może.“

Dzieje Długoszowe, rozpoczęte w nader szerokich ramach — jakkolwiek zawierające już ksiąg dwanaście — mogłyby były rozrość się znacznie wspanialej, gdyby śmierć nie przecięła nici pracowitego żywota historyka. Ująwszy pióro, nie rozstaje się z niem aż do chwili zgonu. Widziano go pracującego nad historyą ojczystą nawet na łożu boleści. Długoletnie troski w dziedzinie spraw publicznych i ciągła praca wraz z chroniczną chorobą kamienia, wywarły szkodliwy wpływ na jego zdrowie. Ostatni przeto rok życia trawi on wśród samotnych ścian swej izby, złożony nieuleczoną chorobą, co wszakże nie przerywa mu studyów nad przeszłością narodu. Prowadzi on je wciąż z młodzieńczym, rzec można, zapałem, bez względu na brak sił, nie pozwalających opuszczać łoża cierpień. Zacna, prawdziwie obywatelska myśl zostawienia ziomkom jeszcze jednego upominku, który miał przetrwać wszystkie pomniki działalności dziejopisa, była dla niego bodźcem do mozolnego wykończenia rozpoczętej „Kroniki“. Przeczuwając blizki zgon zaledwie nie podwaja pracy, chociaż ona skracała pasmo tak drogiego dla kraju żywota. Leczył go Jan Stanko, który przed siedmiu laty podniósł go już był z łoża boleści, gdy w roku 1472 straszliwie zapadł na kamień i królewiczowie otaczali cierpiącego historyka, osładzając swą obecnością i nieustanną synowską troskliwością godziny długiej choroby. Sam król, stroskany stanem zdrowia przedniejszego z grona mężów rady krajowej, niejednokrotnie go nawiedzał, a „matka rodu Jagiellonów“, królowa Elżbieta, wielekroć posyłała synów do izby kanonika krakowskiego, aby troskliwem czuwaniem u wezgłowia chorego uprzyjemniali mu ostatnie chwile życia i zarazem składali hołd należnej wdzięczności za długą pracę i wielorakie mozoły, jakie ongi łożył dziejopis około ich kształcenia.

Nie były to już pacholęta ślęczące nad księgami w sklepionych izbach lubelskiego zamku, lub igrające w chwilach wolnych od nauk na zielonych łąkach Bystrzycy, pod bacznem okiem uczonego mistrza, ale młodzieńcy w wiośnie życia, gdyż tylko najmłodszy z nich liczył wówczas rok czterna-

sty. Lata i blask dworu nie zdołały wyziębić w owych szlachetnych, a przez całe ich istnienie znanych z prawości sercach uczuć przywiązania i szczerej wdzięczności, od dzieciństwa żywionych dla ubóstwianego mistrza. Nie zaniedbywał wychowawca królewiąt korzystać z takowych przyjaznych usposobień dawnych uczniów, dając im praktyczne rady przyszłego postępowania, gdy los powierzy ich młodzieńczym dłoniom pieczę nad potężnemi ludy ziemi ojczystej. Słowa umierającego mistrza i dawnego piastuna nie padały na opokę. Żadnemu z nich — a trzej z kolei wieńczyli swe skronie koroną Chrobrych — nie zarzuca historya braku miłości kraju i ziomków, braku uczuć prawdziwie obywatelskich. A jeśli dwaj starsi nie unieśmiertelnili wielkiemi czyny swych imion, to jedynie dlatego, iż nie byli udarowani wyższemi zdolnościami i okoliczności nie zbyt im sprzyjały. Lecz za to Zygmunt, obdarzony niepospolitym umysłem, prześciga braci i poprzedników blaskiem sławy swych rządów; wszyscy zaś, nie wyłączając i Władysława, króla Czech i Węgier, ściśle trzymali się ścieżki obowiązków obywatelskich, którą im wytknęły rady i przykład polskiego Herodota.

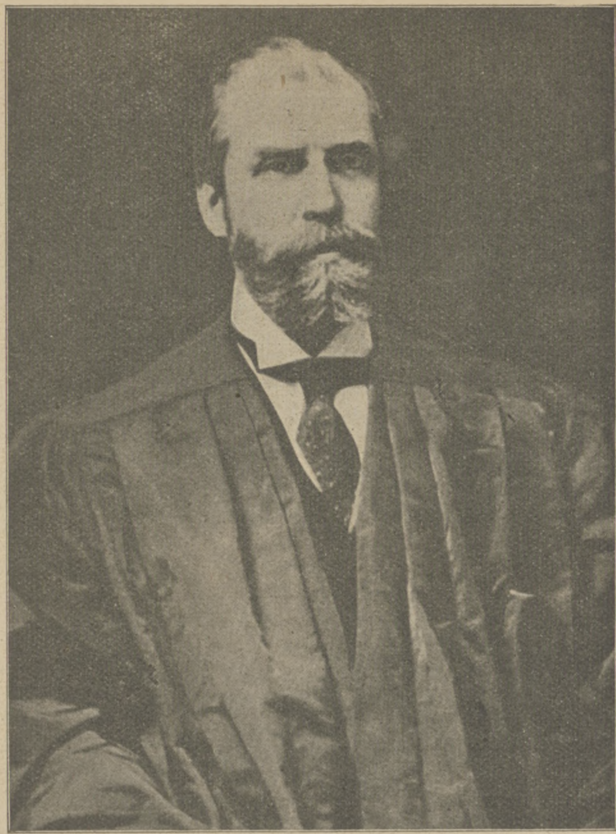
(Dokończenie nastąpi.)

Myśl.

Na tym cudów i zjawisk niepojętych świecie,
Jest czułodrzew, dziwotwór — czucie ma człowieka,
A w szorstkie kory szaty ciało swe obleka,
Stroi się w liść zielony i barwione kwiecie.
Kwiat jego rozwiniony, lśniący łzą słodyczy,
Jak wpół z szat obnażony biały gors dziewiczy,
Przynęca do rozkoszy. Łakome biesiady,
Siadają w nim ucztować skrzydlate owady.
Lecz zaledwie słodkiego dotknęły kielicha,
Kwiat, co jako rozbójnik, na łup tylko czycha,
Balsamicznym je swoim całunem obwija
I wonnemi uściski zdradziecko zabija.

W pełnym dziwów i zjawisk niepojętych świecie —
Świecie ducha — jest myśli czarodziejskie kwiecie.
Cudownie ono zdala do ludzi się wdzięczy,
Stopionym w jedno blaskiem słońca, gwiazd i tęczy;
A mamiące widziadła drgają w jego łonie,
A promieniami z niego biją drogie wonie.
To też tłumnie się przy niem zbiega naokoło
Rój chciwy dziw blizkiemi obejrzeć oczyma,
Błyszczącą jego gwiazdą ubrać sobie czoło.
Lecz zaledwie odetchniesz z blizka kwiatu wonią,
Żądną zaledwie dotknąć podążysz go dłonią —
Oto — myśl nagle strzela ramiony olbrzyma!
W żelaznem ich objęciu skutego cię trzyma,
Purpurowym świat cały osłania namiotem
I węża-dusiciela krępuje cię splotem,
I dzień i noc cię szarpie szponami tygrysa,
Dzień i noc, jak upiór, krew twoją wysysa,
Dopóki całej duszy wreszcie nie wypije.
Myśl — upiór... życiem ofiar żywi się i tyje.

Roman Zmorski.



Charles Ewans Hughes, kandydat partyi republikańskiej na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na widowni wojny.

No obu wielkich frontach wojny: zachodnim i wschodnim zmaganie się przeciwników przybiera rozmiary decydującego starcia. We Francyi toczą się w dalszym ciągu gwałtowne walki po obu brzegach Somme, gdzie według doniesień pism londyńskich rozpoczął się obecnie drugi okres zaciętych przeciwataków niemieckich. Nieprzyjaciel zgromadził na odcinku angielskim olbrzymie siły wojska, które nietylko powstrzymują dalsze posuwanie się armii angielskiej, ale postępują ustawicznie do przeciwataków, celem uzyskania utraconych stanowisk. Walki toczą się z niewypowiedzianą gwałtownością i zaciętością i są nadzwyczajnie krwawe, pomimo to mają one raczej charakter miejscowy i nie wpłyną na zmianę strategiczną lub taktyczną armii angielskiej. Korespondenci opisują od kilku dni bardzo szczegółowo zdobyte rowy strzeleckie i są zdania, że wojsko niemieckie przygotowuje sobie rowy głębsze i szersze, aniżeli Francuzi i Anglicy Są one też staranniej przygotowane i wytrzymalsze na pociski wielkiego kalibru.

„Bund" berneński poświęca ogólnej sytuacyi na zachodzie dłuższy artykuł.

Armia niemiecka — pisze „Bund" — ufortyfikowała poza sobą każdy cal ziemi i będzie broniła go do ostatka. Przypuśćmy nawet, że Anglikom uda się w jednem lub drugiem miejscu front niemiecki przełamać, czy wtedy przyjdzie rzeczywiście do walk, polegających na manewrowaniu? Mogłoby to stać się li tylko wtedy, gdyby przełamanie nastąpiło w odcinku Ypres-Noyon-Verdun i wtedy, gdyby wyłom uczyniony w armii niemieckiej był tak wielki, że flanki i tyły niemieckie będą zagrożone. Jest to trudne do pomyślenia. Przełamanie frontu po dziś dzień wymaga olbrzymiego materyału i najzupełniejszej koordynacyi w przeprowadzonej akcyi zaczepnej, oraz bezwzględnego poświęcenia materyału ludzkiego. Ale czy przy tem wszystkiem potrafią armie francusko-angielskie sprostać zadaniu i czy zdołają przełamać opór najzaciętszego swego przeciwnika, to pozostaje kwestyą do rozstrzygnięcia. Gdyby armia francuska nie była tak silnie zaangażowana pod Verdunem i gdyby nie została tam tak poważnie osłabiona, to sprawa ofenzywy francusko-angielskiej miałaby bezsprzecznie lepsze widoki.

Korespondent „Lokal-Anzeigera" pisze o walkach toczących się nad Somme co następuje: Po olbrzymich walkach, które wypełniały dni ostatnie, osłabły nareszcie te ataki piechoty ustępując miejsca atakom artyleryi. Przerwa ta zamyka drugi okres wielkiej francusko-angielskiej ofen-

zywy, która przeprowadzona z niebywałemi wysiłkami i ofiarami krwi, nie zdołała przełamać linij naszych, lecz ograniczyła się na zajęciu zaledwie tylko kilku wsi. Małe przesunięcia naszego stanowiska w tym lub owem miejscu nie mają wobec gwałtowności walki i wobec celów i zamiarów nieprzyjaciela zbyt wielkiego znaczenia. Contalmaison wpadło w ręce Anglików po długich i uciążliwych walkach i to stanowi bodaj największe ich powodzenie, z powodu którego linia nasza posunęła się że Anglikom udało się przełamać drugi system rowów linii niemieckiej i wtargnąć na północ od Bazentin le Grand do trzeciej linii. Dalej spotykamy się z nowym systemem walki, którego użyli po raz pierwszy w jesieni roku ubiegłego Francuzi, podczas owej sławnej ofenzywy w Szampanii, rzucając do walki wielkie masy konnicy.

Tego samego systemu chwycili się Rosyanie kilkakrotnie podczas obecnej ofenzywy w Galicyi i na Wołyniu, a teraz próbują Anglicy tej samej metody. I tak czytamy w komunikacie angielskim z dnia 15. bm. wieczora, że w okolicy lasu Fauveux, gdzie przełamana została trzecia linia niemiecka, stoczył szczęśliwą potyczkę szwadron dragonów gwardyi z oddziałem nieprzyjacielskim. Komunikat zaznacza, że była to od roku 1914 pierwsza sposobność użycia konnicy. Dalej donosi komunikat z godz. 7. wieczora, że oddziały dragonów gwardyi i konnicy Dekhan atakowały nieprzyjaciela.



Żołnierze po kąpieli w największym zakładzie desinfekcyjnym dla żołnierzy powracających z pola walk w Opolu na Górnym Śląsku.

nieco na wschód od Ovillers la Boisselle. Byłoby mylnem jednak twierdzenie, że piechota angielska przejdzie teraz po wypoczynku do zupełnej bezczynności. Wszystko wskazuje raczej na to, że przeciwnik ściąga nowe posiłki, że fortyfikuje zdobyte stanowiska pod osłoną swych armat i że walki wiodą się jeszcze z większą gwałtownością.

Przewidywania te korespondenta „Lokal-Anzeigera" sprawdziły się, gdyż walka rozgorzała na nowo w okolicy Somme; zwłaszcza wre nadzwyczaj zacięta bitwa na północ od Somme w odcinku angielskim pomiędzy Pozières i Longueval. Tutaj udało się jak donosi główny komunikat kwatery niemieckiej, z dnia 15-go bm., nieprzyjacielowi wtargnąć, mimo olbrzymich strat do linij niemieckich i zdobyć teren. Walka toczyła się aż do niedzieli, gdzie, jak donosi późniejszy komunikat niemiecki, ataki angielskie zostały powstrzymane. Również na południe od Somme atakowali znowu Francuzi, lecz bezskutecznie.

Komunikaty odnośne francuskie są bardzo blade i nie donoszą nic ciekawego. Tem obszerniejsze są natomiast komunikaty angielskie. Dowiadujemy się z nich,

Na południe od rzeki Somme, gdzie walczą Francuzi, był przebieg boju mniej zacięty. Część wsi Biaches zdobytej przed tygodniem przez Francuzów, zdołano odzyskać i wzięto przytem przeszło 100 jeńców.

Cesarz Wilhelm przebywał w dniu 16. b. m. na obszarze walk nad rzeką Somme.

Krwawe walki toczyły się także pod Verdun na prawym brzegu Mozy. Francuzi wtargnęli tutaj w małą część przedniej linii niemieckiej na południe-zachód od fortu Thiaumont. Walka w tem miejscu nie została jeszcze rozstrzygniętą.

Na wschodzie wywiązały się obecnie zacięte walki na południe zachód od Łucka. Jest to punkt linii austryacko-niemieckiej, która wysuwa się najbardziej na wschód, wrzynając się szerokim klinem we front rosyjski, broniąc w kierunku Brodów drogi do Lwowa. Rosyanie próbują tutaj widocznie odrzucić wstecz trzymającą się mimo wszelkich wysiłków z ich strony linię wroga. Świeży komunikat niemiecki zaznacza, że wojsko niemieckie kontratakuje atakującego wroga.

Na innych częściach wschodniego frontu panuje względny spokój.

Z frontu włoskiego donoszą komunikaty obydwóch stron o lokalnych bardzo gwałtownych walkach, które jednak nie mają charakteru operacyj zbrojnych we większym stylu. W okolicy Adygi grzmią gwałtownie działa.

Wreszcie dowiadujemy się z komunikatu austryackiego o walkach armatnich i potyczkach nad dolną Wojusą. Te coraz częściej powtarzające się w ostatnim czasie notatki o walkach na tym froncie zdają się zapowiadać w najbliższym czasie większą akcyę.

Na froncie tureckim ożywiają się walki w Armenii. Ostatnie komunikaty rosyjskie donoszą o zdobyciu szeregu pozycyj tureckich na zachód od Erzerum i o zbliżeniu się na odległość 15 wiorst do Baiburtu.

W dziedzinie wojny na morzu trzeba jako ważny zanotować fakt, przedarcie się pierwszej niemieckiej łodzi handlowo-podwodnej przez blokadę angielską do Stanów Zjednoczonych. Sam pomysł zużycia do celów handlowych specyalnych statków podwodnych celem udaremnienia blokady, za pomocą której Anglia chce odciąć Niemcy od wszelkich stosunków zamorskich, nie był nawet zbyt odległym, ale urzeczywistnienie go świadczy wysoko o sprawności techniki niemieckiej. Szczęśliwe przybycie



Szpital niemiecki w wiejskim kościołku francuskim.

pierwszej handlowej łodzi podwodnej „Deutschland“ do portu amerykańskiego Baltimore zrobiło w każdym razie duże wrażenie. Oczywiście, jak słusznie zaznaczają niektóre gazety niemieckie, nie należy praktycznego znaczenia tej nowej komunikacyi podwodnej przeceniać. Mała stosunkowo pojemność łodzi podwodnych sprawia, że o przewożeniu masowych towarów, jak naprzykład żywności nie może być mowy. Tylko pewne cenne materyały nie zabierające dużo miejsca nadają się do takiego transportu, jak naprzykład kosztowne barwniki, które „Deutschland“ zawiozła do Ameryki, lub metale, a wreszcie i ważne papiery i dokumenty dyplomatyczne. Zaznaczamy, że łódź podwodną „Deutschland“ uznało prawo morskie jako statek handlowy.

Na morzu północnem zatopiła w dniu 11. bm. niemiecka łódź podwodna angielski krążownik pomocniczy. Tego samego dnia zatopiono też na wschodniem wybrzeżu Anglii trzy uzbrojone angielskie statki posterunkowe.

Austryacka łódź podwodna zatopiła 10. b. m. włoski kontrtorpedowiec „Indomito“.

Z Grecyi donoszą o tajemniczym pożarze pałacu letniego króla greckiego w Tatoi pod Atenami. W płomieniach zginęło kilku oficerów, rodzina królewska ratowała się ucieczką. Liczba ofiar wynosi, o ile dotąd wiadomo, 32, w tem 28 żołnierzy gwardyi królewskiej. Według ostatnich wiadomości pożar przybiera zastraszające rozmiary i zagraża stolicy greckiej Atenom.

W dziedzinie wojenno-politycznej należy zwrócić uwagę na symptomaty, zdające się zwiastować otwarty konflikt między Włochami a Niemcami.

W Meksyku wybuchła nowa rewolucya.

A co z tobą drogi bracie?

A co z tobą drogi bracie?
Jaka dola zła?
Czemu kurz na twojej szacie?
Skąd ta gorżka łza — tęsknica?
Skąd ta gorżka łza?

Co cię z chaty twej wygnało
Na niedolę gdzieś?
Co porzucić ci kazało
Twą rodzinną wieś — matulę,
Ojcowistą wieś?

Z wiosnąś zawsze rankiem chodził
Na swój złoty łan —
Dumnem okiem po niem wodził,
Jako król a pan siermiężny —
Jako król a pan.

Tobie miesiąc schodził złoty,
Szczere złoto lał,
Na chróściane, na opłoty
Wicher dumkę gnał serdeczną —
Dumkę wicher gnał.

W zbożnejś pracy strawił lata
Szronem zbielał włos,
A na starość cię pomiata
Tak okrutny los — macocha,
Bezlitosny los.

Lecz tyś orłem w swej sukmanie,
Nie przystoi łza —
A choć wielkie ukochanie,
Kiedy trza — to trza ból zdusić...
Kiedy trza — to trza...

Daj mi rękę w swej niedoli —
Sierotaś, jak ja —
A choć schną dłonie od boli,
Dalej iść nam trza przed siebie —
W twardą dolę trza...

(„Głos Polski“, Sosnowiec.)

Z dziejów Zamku Królewskiego
w Warszawie.

Na parę lat przed wybuchem wielkiej wojny, w listopadzie 1911 r., ukazała się w pismach krakowskich następująca, godna powtórzenia korespondencya z Warszawy:

Najstarsza część Zamku, od strony Wisły, mieści komnaty królewskie, wykonane za czasów Wazów przez mistrzów włoskich, którzy, zwłaszcza w kilku salach odtworzyli coś bajecznego pod względem przepychu, gustu i natchnienia artystycznego. Zwłaszcza sale rycerska, kolumnowa, tronowa, mały skarbiec koronny, są to komnaty tak piękne, jakie się spotyka tylko w kilku rezydencyach monarszych w Europie. Król Zygmunt Waza i jego syn Władysław IV, bogacili wciąż Zamek dziełami mistrzów włoskich, a nagromadzili ich taką moc, iż ściany zamkowe nie mogły ich zużytkować i dziesiątki najpyszniejszych kominków, od-

drzwi marmurowych, drzwi rzeźbionych, okien, kandelabrów i żyrandoli zaległy składy zamkowe w półpiwnicach, ciągnących się w lewem skrzydle zamkowem ku Staremu Miastu.

Nadeszły czasy saskie. Augustowie zapragnęli przeprowadzić przeróbkę Zamku królewskiego w Warszawie na styl barokowy; sprowadzili więc swoich artystów z Drezna i sporządzone zostały nowe plany zamku, przeważnie jednak dotyczące zewnętrznych przeróbek i zmieniające szatę zewnętrzną zamku do niepoznania. Zwłaszcza przeróbce miały uledz skrzydła zamku od strony miasta, zaopatrzone w tarasy i ogrody wiszące z majestatycznemi schodami na stoku wzgórza warszawskiego. Głośny wówczas artysta Canaletti pośpieszył się z uwiecznieniem na płótnie zamierzonych, lecz nie uskutecznionych z braku pieniędzy przeróbek zamku, i dzięki niemu przechowały się dwa obrazy, przedstawiające zamek, aczkolwiek w nigdy nieistniejącej szacie, zapewne przez powierzenie mu artystycznego wykończenia planów architektonicznych.

Nadeszły czasy Stanisława Augusta, tego króla-artysty. Zabrał się on do odnawiania zamku i przeróbek według swojego gustu, jednak traktował prace artystów włoskich z całym pietyzmem, nadając tylko wspaniałym salom: koronacyjnej, rycerskiej i innym, plafony roboty Bacciarellego według zadawanych mu tematów. Stanisław August doprowadził pawilony zamkowe do jednolitego wyglądu majestatycznej rezydencyi królewskiej, spożytkował zapasy dzieł sztuki, leżące w składach od dwóch stuleci nietknięte, przyozdobił niemi sale sejmowe, sale rady stanu, kazał rzeźbić nową bramę zamkową równolegle do miejskiej krakowskiej, nazwaną herbową; wyporządzić szereg prywatnych komnat własnych według swojego gustu, w stylu Ludwika XV. i jego następcy (teraźniejsze: sala muzyczna, salon niebieski, sypialnia cisowa i t. d.), zapas wszakże dzieł sztuki pozostał jeszcze bardzo obfity, a powiększył go król swojemi zakupami.

Nadeszły czasy Księstwa Warszawskiego. Zamek na nowo odżył, nie było wszakże funduszów w zawierusze wojennej na wyrównanie uszczerbków.

Lepiej nieco było za czasów Królestwa Konstytucyjnego. O zamek dbano, jak o każdą rzecz, będącą własnością narodu, zwłaszcza doprowadzono do świetności salę sejmową w lewem skrzydle od wieży, gdzie mieściła sie rota rosyjskiej gwardyi, pilnująca bezpieczeństwa generał-gubernatora.

Lecz oto nadeszła katastrofa w postaci upadku rewolucyi i objęcia rezydencyi w zamku przez Paskiewicza. Od tej chwili zaczął się właściwy rabunek zamku, przechodzący wszystko, co wyobraźnia ludzka przedstawia sobie o wandalizmie. Paskiewicz miał „carte blanche" zabierania wszystkiego, co mu się podobało. Ogołocił więc przedewszystkiem składy zamkowe, wywiózłszy dzieła sztuki, gromadzone tam od czasów Wazów, do Homla, gdzie wzniósł sobie pałac. Zabrał wszystkie obrazy, wszystkie rzeźby, jednocześnie zaś zarząd pałaców petersburskich kazał wyrywać z murów freski (np. w sali teatru Stanisława Augusta, obecnie przerobione na cerkiew). Freski te otaczano ramą dębową, zalewano ołowiem i wyrywano ze ściany. Srebra koronne, porcelanę, tron, portrety zasłużonych Polaków przewieziono do „Orużejnoj Pałaty" w Moskwie. Paskiewicz nie darował nawet galeryi balkonowej w podwórzu turniejowem, którą wywiózł, a gołe kroksztyny świadczą o tym rabunku. W barbarzyństwie swem Paskiewicz chciał zniszczyć owe komnaty, budzące do dzisiaj podziw w Europie, a wandalizm ten chciał upozorować przeróbką zamku na styl angielski, czego podjął się budowniczy Idzikowski i odpowiednie plany zamku już sporządził, wraz z przeróbką całej katedry i Placu Zamkowego. Planów tych wszakże car Mikołaj nie zatwierdził i przeróbce uległa tylko katedra, w której zginęło przy tej sposobności mnóstwo wspaniałych nagrobków średniowiecznych.

Resztę rabunku dopełniła Hurkowa, wydzierając z komnat dawnej rady stanu i senatu piece majolikowe, odrzwia, boazerye. Pozostały zaś nadal nietknięte komnaty recepcyjne od strony Wisły, których restaurowanie w roku bieżącym powierzono „arteli artystów rosyjskich," malujących nowy sobór na placu Saskim. Po skończonej tej pracy odbył się tam obrzęd zaślubin panny Skałonówny z p. Tołbuzinem...

Order Orła białego.

Rzecz historyczna.

(Ciąg dalszy).

Nie w pośledniejszej miany był cenie order polski za Zygmunta Augusta. Przyjemne nader wspomnienie wzbudza w historyi swojej przytoczony dopiero Gwagnin, gdy jako współczesny a wiary godny świadek, sam w poczet Kawalerów złotych (Equites aureati) przyjęty, odbytą w Lublinie już to po drugi raz na dniu 19. lipca 1569 r. hołdowniczą na księstwo pruskie inwestyturę Albrechta Fryderyka, margrabi brandenburskiego, z wszelkiemi szczegółami opisuje, dodając, że po wykonanej przez tegoż przysiędze na wierność i posłuszeństwo, „król wziął miecz obosieczny od miecznika koronnego, pana Jędrzeja Zborowskiego i nowego książęcia podług zwyczaju trzy razy przepasał, mówiąc: „Przypasuj miecz twój na lędźwie twoje jak najmocniej. (Accingere gladio tuo super femur tuum potentissime). Potem mu łańcuch złoty (torquem auream) na szyję włożył, godny wspaniałości królewskiej."

Kończy Gwagnin opis ten wzmianką, że „tym sposobem opasano wtenczas wszelką szlachtę, do kawalerskiego obowiązku wstępującą, w której liczbie i on sam się znajdował."

Zgodnym, choć krócej, opisuje ten czyn sposobem Bielski w kronice, mówiąc: „Pod sejm w Lublinie walny roku 1569, Albrecht Fryderyk, margrabia brandenburski, drugi książę w Prusiech, przysiągł na hołd Augustowi królowi na tronie siedzącemu. Gdzie jego samego i innych „wielu przy nim król kawalerów kreował", a tego samego doczytać się można w historyi Prus Chwałkowskiego.

Pewnie, jak mniema Sapieha, książę Albrecht Fryderyk, z krwi królów polskich pochodzący, nie inszego jakiego orderu łańcuchem i znakami, chyba starożytnego Orła białego być mógł ozdobionym i przepasanym, ponieważ wszystkim wiadomo, że ta tylko jedna ozdoba w polskiem Królestwie niegdyś jaśniała i sami tylko królowie polscy jako mistrze konferowania jej moc i prawo mieli.

Dalsze orderu polskiego ślady Sapieha z dziejów wytykając, pisze, że Jędrzeja pierwszego tego imienia Sapiehę Stefan król, w nagrodę zwycięstwa przezeń pod Wendą w Inflantach otrzymanego, przyjął w poczet kawalerów rycerskim łańcuchem nadanych.

Przeciwnie Zygmunt III., jak mówi nasz autor na świadectwach historycznych oparty, „nikogo kawalerem nie kreował i nie pasował", lubo tenże sam pisarz nie zupełnie zgodnym się z sobą pokazuje, mówiąc na stronie 106, że: „ostrożna Zygmunta III. przezorność ku końcowi panowania, ślady zarzutów zgładzić niejako usiłowała i poufalszą podległych ludów miłość Władysławowi synowi swemu zostawić nie omieszkała, a to przez przywrócenie domowego „orderu". Co potwierdzać usiłuje przytoczeniem dwóch starożytnych portretów Albrechta Radziwiłła, kanclerza W. Ks. lit. i Kazimierza Lwa Sapiehy, tegoż księstwa podkanclerzego, ozdobionych „białym na



Zalany obóz oficerów angielskich w Mezopotamii.

złotym łańcuchu Orłem“, którego szpony trzymają „cyrkuł także złoty na dwóch łańcuszkach“ mniejszych zawieszony, tak właśnie jako się raz pierwszy pod Władysławem Łokietkiem pokazało.

Pewniejsza za to od tej słabej wiadomości zdaje się, że następni królowie, ani sami ojczystego orderu nie nosili, ani go drugim udzielali. Przyczynę takowego narodowych zaszczytów zaniedbania słusznie podobno w tem upatruje Sapieha, że wszyscy prawie królowie, począwszy już od Kazimierza Jagiellończyka obcym orderom, jako to: „podwiązki złotego runa i św. Ducha“ wcielani, nie tylko obojętniejszem na własny spoglądali okiem, ale nawet przez to podejrzeniu obcego wpływu popadli. Wyrzucała też słabość tę Zygmuntowi III. konfederacya Zebrzydowskiego; użalano się podobnież z tego powodu na Władysława IV. i Jana Kazimierza, lubo tamten miał zamiar order narodowy przywrócić; przyjęty bez wiedzy Rzpltej przez Michała order runa złotego, dość mu często w senacie prymas Prażmowski wymawiał, a konferowany Janowi III. przez króla francuskiego order św. Ducha, niemniej cierpkie sprowadził mu przymówki. „Lepiej — mówi Sapieha — i pożyteczniej dla utrzymania wzajemnej między stanami ufności byłoby własny starożytny order, żadnemu cudzoziemskiemu świetnością sławy nie ustępujący, zachowywać, niżeli przywoźne zkąd inąd sprowadzać, nie bez znacznego uszczerbku powinnej monarchom od ich poddanych życzliwości i wzruszenia publicznego samego królestwa pokoju. Miłość jest to rzecz podejrzenia i bojaźni pełna; jak prędko się ku obcym nachyloną postrzeże, zaraz się w zazdrość przemienia.“

Postrzegali to zapewne następni tronu polskiego dziedzice i więcej jak kiedybądź dawniej łask swoich przychylać poddanym umyślili. Tym końcem, innych monarchów idąc przykładem, jak pisze Kromer, Cavalier i Sapieha, zaraz po koronacyi swojej nazajutrz, czy też dnia trzeciego, wystawiony na rynku krakowskim majestat z należną osobie swojej okazałością zasiadłszy i „mieczem na cztery strony świata błysnąwszy, ludzi znamienitemi zaleconych zasługami po trzykroć z lekka między łopatki uderzając“, takowych „złotymi rycerzami kreują.

Zaszczyt wszakże mianowanych tym sposobem „złotych rycerzy“ różnym byc Sapieha i wiekiem i rzeczą sam od zaszczytu dawnych pod Kazimierzem Wielkim kawalerów „rycerskiego pasa“ rozumie, lubo i tych ostatnich, jak wyżej powiedziano, imię także „rycerzy złotych“ oznaczało. Różnicę takowej, jak Sapieha nazywa, klasyfikacyi na tem zakłada:

1. Że ci późniejsi, tak zwani „złoci rycerze“ pospolicie z miejskiego stanu, „złoci“ zaś „opasa rycerskiego rycerze“ tylko z szlachty wybieranymi bywali.

2. Że tylko „opas rycerski“ (baltheum militare) „rzeczywistym był orderem“, bo właśnie „łańcuch złoty“ starożytną jest orderu polskiego oznaką, „rycerze“ zaś „złociści“ (equites aureati) na rynku krakowskim pasowani pomimo dotknięcia mieczem, tytularnymi tylko stawali się kawalerami, ale ani łańcucha, ani ostróg, ani miecza, ani żadnych zwierzchnych nie nosili oznaków i przestawali tylko na pewnym „praw stanu szlacheckiego udziale“, mianowicie użyczane sobie mając „wraz z potomstwem swojem, prawo nabywania i trzymania dóbr ziemskich“, które to jeszcze nawet prawo tem ścieśnione „bywało“, że moc jego od „potwierdzenia stanów Rzpltej“ zależała, czego dowodem konstytucya pod r. 1676, przywilej niejakiego Jana Kazimierza Laurego na „rycerstwo złote“ aprobująca.

3. Że rycerstwo złote tego nowszego ustanowienia jedynie tylko na koronacyjnem nabywało się obrzędzie, kawalerowie zaś złoci rycerskiego pasa „w każdym czasie“ kreowanymi być mogli i zaszczyt ten przy udziale najświetniejszych godności otrzymywali.

4. Że przywileje nowych rycerzów złotych nie pod koroną, ale pod tytularną, t. j. „majestatową pieczęcią“, wydawano lubo sam widział Sapieha i umieścił w dziele swojem na stronie 116. i nast. przywilej tego rodzaju pod datą 18. września 1697 r. przez Augusta II. w początkach panowania jego. „Jakóbowi Grynowi, walecznemu wojsk polskich kapitanowi“, z okazyi nadanego mu przy koronacyi wraz z potomstwem „złotego rycerza“ zaszczytu udzielony, a „nie majestatyczną“ ale „większą koronną“ oznaczony pieczęcią.

J. D. M.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pamięci szarego bohatera.

Tuż za frontem, dzielącym świat na dwa wrogie obozy, ziejące ku sobie armatnim ogniem nienawiści, leży na wzgórku piaszczystym stary cmentarz, porosły olbrzymiemi sosnami, które od wieków ocieniają spokojne mogiły. Obok starych zmurszałych krzyżów i zapadniętych mogił, pojawiły się obecnie całe dziesiątki nowych, świadczących o krwawych zapasach, które się rozgrywały w tej okolicy.

Legioniści, żołnierze niemieccy, austryaccy i rosyjscy, wszyscy spoczywają razem w braterskiej zgodzie.

Przeglądnijmy napisy: „Hier ruth Musketier Jamróg“ — „Im Feindes Land für Vaterland gefallen Gefreiter St. Kowalik“. — „Ulane Andreas Tutaj“. – „Zwei unbekannte russische Soldaten“, — krzyż nad nimi prawosławny o trzech ramionach, a na krzyżu wiszą dwa różańce z medalikami Matki Boskiej Częstochowskiej. Takich dla nas bolesnych napisów bez końca. Większość grobów kryje zwłoki naszych legionistów. Groby pięknie urządzone, na krzyżach polskie napisy i orły legionowe. Spoczywa ich na tym cmentarzu i w najbliższej okolicy blizko 200 żołnierzy i oficerów., którzy po-

szli za wołaniem Matki Ojczyzny i tu na jej granicy, jakby wałem złożyli swoje kości w nadziei, że ich krew na darmo przelaną nie będzie.

O wielu z nich pisano pośmiertne wspomnienia i artykuły. Niektórych ekshumowano i na ich pogrzebie były tysiące publiczności polskiej, ale ilekroć jestem na cmentarzu, zawsze jakaś dziwna siła ciągnie mię do małego zapadniętego krzyża z napisem: Murmyło Bartłomiej, legionista, starszy żołnierz, 3. pp. 2 komp. † 5. XI. 1915, jemu tez, owemu szaremu żołnierzykowi, pragnę poświęcić słów parę wspomnienia.

Było to w czasach strasznej zimy karpackiej. Na prawem i lewem skrzydle Rosyanie byli na Węgrzech, a mimo to 3 pp. Legionów polskich trzymał się na ziemi polskiej w Rafajłowej, zamykającej przełęcz Pantyr-Rogodze. Była to jedyna miejscowość, która mimo zajęcia Galicyi aż po Dunajec i Poprad pozostała w naszych rękach. Rosyanie używali wszelkich sposobów, aby zdobyć tę ostatnią przełęcz, lecz nadaremnie. Zresztą o Rafajłowej, zasypanej śniegami, zapomniano na świecie. Poczta do nas prawie nigdy nie dochodziła. Pisaliśmy rzadko, a do najbliższej stacyi kolejowej mieliśmy 100 klm. Nawet mapy sytuacyjne, wydawane w tym czasie, Rafajłowę umieszczały daleko za frontem rosyjskim.

Przyszła ofenzywa lutowa. Dopiero wówczas przypomniano sobie, że jedna przełęcz jest w naszem ręku i cała Rafajłowa została zapełniona masą wojska i artyleryi. Rosyanie bronili się zawzięcie, bo przerwanie ich linii otwierało drogę doliną Bystrzycy aż do Stanisławowa i zagrażało tyłom rosyjskim.

Legioniści szli naprzód; w pierwszym nocnym ataku na rosyjskie pozycye na stokach Maksymca dotarli pod same kamienne okopy.

Legioniści zostali otoczeni, a wielu ich pozostało w dolinie Maksymca — nazwanej doliną śmierci. Rozpoczęła się 6-dniowa zawzięta walka przy 24-stopniowym mrozie. Chłopcy padali z mrozu, przemęczenia i głodu. Dostarczanie żywności na stoki górskie, pełne zapadlin i głazów, było w nocy rzeczą wprost niemożliwą, a w dzień trzeba było przechodzić przez ogień nieprzyjaciela, który ze swych pozycyj mógł każdą muchę zauważyć. Pierwsza patrol, wysłana z żywnością, dostała się pod gwałtowny ogień nieprzyjacielski i zostawiwszy zapasy wróciła na dolinę. Pułkownik Haller kazał im natychmiast wrócić, a za przewodnika dał im ordynansa pułkowego Murmyłę. Zwinny jak kot chłopak przyjął rozkaz z radością, wdrapał się na skałę i powyciągał wszystkich za sobą. Prowianty wyciągnął na ścieżkę, idącą górą i wprawdzie czterech Bogu ducha winnych kucharzy było rannych, ale chłopcy dostali jeść. Za okazaną odwagę został zamianowany starszym żołnierzem.

Najważniejsze rozkazy roznosił Murmyło. Z niesłychanie zimną krwią przechodził wśród gradu kul. Jego towarzysz, niosący rozkaz do oddziału karabinów maszynowych, wyszedł za próg i ledwie zdołał wykrzyknąć: „Jezus!" już był martwy. Murmyło wrócił z pozycyi. Zdala było widać, że po stokach górskich coś za sobą ciągnie.

Na świerkowych gałęziach ciągnął z góry starego Tyrolczyka, który przed dwoma dniami został ciężko ranny w głowę i stoczył się z pozycyi 10 m. na dół. Byłby biedak zamarzł, ale że to był stary, praktyczny landszturmista, więc skoro się znalazł na dole, posłał sobie namiot, przykrył się dobrze kołdrą, osłonił śniegiem, gryzł „zwieback" i konserwy, no i od czasu do czasu wołał: „Hilfe! Hilfe!", aż się jej wreszcie doczekał od naszego Murmyły.

W piątym dniu bitwy przybył do nas rotmistrz z austryacko-węgierskiej dywizyi; gdy przechodził górską ścieżką ku pozycyom, został trafiony ekrazytówką w rękę i stoczył się po stoku góry na zupełnie otwarte miejsce naprzeciw rosyjskich okopów. Ordynansi biegli natychmiast i zameldowali to pułkownikowi Hallerowi. Gdy otrzymali rozkaz poszukiwania rotmistrza, oświadczyli, że on z pewnością zabity, a wydostanie go z owej dolinki jest zupełnie niemożliwe. Wówczas Murmyło poszedł na ochotnika z dwoma towarzyszami. Po kilku godzinach przywieźli rotmistrza na sankach. Po drodze pytali, gdzie go zawieźć do opatrunku. „Do was bliżej, a moja rana krwawi" odpowiedział. Po opatrunku, gdy go znowu Murmyło odwiózł dalej ręcznemi sankami, rotmistrz wyjął banknot 100-koronowy i rzekł: „Knabe mit eigener Lebensgefahr hast du mir das Leben gerettet, nimm zum Andenken". Na to skłonił się Murmyło i odrzekł: „Ich danke gehorsamst, ich bin ein Legionär!"

Przeszedł Murmyło szczęśliwie całą ofenzywę lutową aż pod Stanisławów, brał udział w obydwóch ofenzywach besarabskich, a często widywałem go, jak zakurzony, zabłocony, z karabinkiem przewieszonym przez plecy, z chyżością charta biegał z rozkazami.

W ciemną, dżdżystą noc listopadową przyniesiono na plac opatrunkowy w W. rannego. Była ich już w tym dniu taka masa, tylu mieliśmy zabitych, że człowiek zupełnie zobojętniał. Podchodzę do rannego, aby się zapytać gdzie jest ranny, a on z radością wyciąga do mnie rękę i woła: „Ach to nasz ksiądz z Rafajłowej".

— Tak dawno księdza nie widziałem... myśmy tutaj wczoraj przybyli... przywieźli nas z Bessarabii... spełniły się nasze życzenia... wszyscy polscy legioniści są razem..."

Mimo zmiany poznałem go natychmiast. Na smagłej, krzepkiej twarzy ból wykuł nowe wyrazy szlachetności i poświęcenia.

— Proszę księdza — mówił dalej — ja dzisiaj umrę, bo jestem ranny w brzuch, a wiem dobrze, że na to niema ratunku, chciałbym się wyspowiadać".

Każda wielka i święta dusza jest zawsze gotowa na śmierć. Po spowiedzi chciał jeszcze Murmyło pogwarzyć ze starym przyjacielem i pyta:

— Proszę księdza, czy będzie Polska?

— Będzie drogi bracie — powiedziałem — ale skoro tak koniecznie chcesz umrzeć, to pamiętaj także o tem, aby w niebie modlić się, żeby u nas była jedność i zgoda.

Na drugi dzień odprowadziłem na cmentarz zwłoki 16-letniego szarego bohatera, który całem młodem sercem ukochał Polskę, o niej zawsze myślał i walczył dla niej aż do zgonu. Smutny to był pogrzeb, nawet garstka kolegów z okopów przybyć nie mogła, grób wykopali dwaj sanitaryusze.

Mogiła już trawą bujną porasta, jodły szumią jak przed wiekami, na froncie wre zacięty bój jak przed 7 miesiącami, a nad wałem grobów Murmyłów, Łysków, Tarkowskich wyciąga ramiona wielki dębowy krzyż z napisem: „My krew i życie niesiem w dań, tylko Ojczyzno z grobu wstań!"

Ks. Józef Panaś.

„Dziennik Cieszyński".

Doszczętne zniszczenie Ostrołęki.

W „Świecie" z 1. bm. znajduje się następująca korespondencya z Ostrołęki:

Nie wiele miast w Królestwie Polskiem uległo zapewne tak doszczętnemu zniszczeniu, jak Ostrołęka. Z ludnego, ruchliwego i bogatego powiatowego miasta pozostały dziś tylko gruzy. Setki poopalanych kominów wznoszą się nad ruinami, usianemi szczątkami żelaznych łóżek, garnków, maszyn do szycia, rowerów. Czem był pożar miasta, już to jedno może dać wyobrażenie, że trwał całe dwa tygodnie. Wojska rosyjskie nakazały opuścić domy, podłożono ognie i podsycano je dopóty, dopóki tylko Rosyanie utrzymali się nad Narwią. Całe pobrzeże do dziś dnia poorane jest okopami, a dostęp do rzeki utrudniają liczne zagrody z kolczastego drutu. Niema łokcia ziemi w Ostrołęce, na której nie odnajdywanoby jeszcze teraz odłamków szrapnęli, a jak gęstym był grad pocisków, może świadczyć fakt, że w sam klasztor ostrołęcki uderzyło 60 kul armatnich. Z całego miasta ocalał w części klasztor, kościół parafialny, cerkiew, służąca obecnie na skład zboża, szpital i dwa domy w rynku, które się uratowały wprost cudem.

Nieliczna ludność, która powróciła do Ostrołęki, rozmieściła się po przedmieściach. Handel upadł, nędzne żydowskie sklepiki, sprowadzające z Warszawy lichy towar, sprzedają go po cenach bardzo wysokich. Otworzona niedawno przez Ostrołęcką Radę Opiekuńczą, działającą z ramienia Rady Głównej hurtownia, stara się z powodzeniem walczyć ze spekulacyą, zaopatrując ludność uboższą w tani cukier, my-

Czas jeszcze

odnowić przedpłatę na bieżący kwartał, gdyż poczta jest zobowiązana dostarczyć zaległe numery.

Formularze celem zamówienia „Pracy“ na trzeci kwartał 1916 roku zamieszczone są na drugiej stronie okładki. Formularzy takich dostarczy także na życzenie każda poczta i każdy listowy.

Od Administracyi i Ekspedycyi.

Wobec nowego rozporządzenia dotyczącego oszczędnego obchodzenia się z papierem gazetowym, a mianowicie § 8 wspomnianego rozporządzenia, który zakazuje wydawnictwom wysyłki wszelkich numerów bezpłatnych pod karą więzienia do pół roku albo grzywny do 10 000 mk., zniewoleni jesteśmy z **dniem 1-ym lipca rb. zaprzestać wszelkich dalszych wysyłek numerów bezpłatnych.**

Przyjaciół naszych, którzyby pragnęli w dalszym ciągu czytać „Pracę“ prosimy, ażeby zechcieli łaskawie zaabonować pismo nasze na poczcie. Także dla żołnierzy zamówić można na poczcie.

Aurora
Wróbel
Kreton
Rozejm
Zamoyski
Yard
Węgorz
Osman
Ursus
Słowacki
Traktat
York

BOLESŁAW KRZYWOUSTY.

Nagrodę otrzymali pp. Wojtek ze Śródki, Stanisław P., wojak z zachodniego teatru wojny, Antoni Waberski z Berlina.

Rozwiązanie łamigłówki z nr. 24-go.

TARCZA LEGIONÓW.

Nagrodę otrzymali pp. Adaś Nadobny z Poznania, Marya Ludwika S. z prowincyi, Karol Bambrowicz z Hamburga.

dło etc. Taż sama Rada otworzyła już w powiecie przeszło dziesięć ochron, rozwijających się tak pomyślnie, że projektowane jest ciągłe otwieranie dalszych.

Dnia 3. maja odbyła się w Ostrołęce uroczystość z powodu rocznicy ogłoszenia Konstytucyi. Po uroczystem nabożeństwie, odprawionem w udekorowanym narodowemi barwami kościele, wyruszył liczny pochód na t. zw. Łęczysko, pola nad Narwią, zlane obficie krwią Polaków w roku 1831. Przy dźwiękach narodowych hymnów zatrzymano się na wzgórku, przybranym zielenią i sztandarami, gdzie wygłoszono kilka mów, tchnących gorącym patryotyzmem. Po powrocie do miasta zakończyło tę piękną uroczystość odśpiewanie przed kościołem prastarej, polskiej pieśni rycerskiej „Bogarodzica Dziewica“. Setki pamiątkowych broszurek, rozdanych zgromadzonemu ludowi, nauczyło go rozumieć i czuć doniosłość podobnego obchodu. W uroczystości wzięła również udział delegacya żydowska.

Za wszystko jestem wdzięczny.

Za wszystko jestem wdzięczny: Za tę słotną drogę,
Po której kroczyć muszę do umarłych miasta;
Za księżyc, co mi oto z pod wierchów wyrasta
I oczom moim ślepym odejmuje trwogę
Przed siecią mgieł zdradzieckich. Za szaleństwo własta,
Co mniemał, że na ludzkich karkach stawiał nogę,
Gdy w kaźni obłąkańców krwi jego pożogę
Studzono kajdanami... Za ten kawał ciasta
Przed chwilą zdjęty z ognia, za ten wody dzbanek,
Za pryczę, za światłości ukojny poranek,
Co jutro się przez szpary wciśnie do mej celi.

Tak jutro!... O nadziejo! Jakżeż wdzięczny jestem!
Szeleści, moja dusza weselnym szelestem,
I wam niech bracia moi, serce się weseli!

Jan Kasprowicz.



Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 27-go lipca r. b. włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższego rebusa.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie łamigłówki z nr 21-go.

Byron
Ostrołęka
Ligia
Estrada
Snycerz
Łowicz

OD ADMINISTRACJI

Ze względu na wielkie podrożenie papieru gazetowego zaprzestaliśmy dołączać do „Pracy“ „Nasz Przewodnik“.

Zachęcamy wszakże do abonowania tego użytecznego pisemka dla dziatwy. Abonament wynosi półrocznie z przesyłką 40 fen. Przy odbiorze conajmniej 25 egzemplarzy, wysyłanych pod wspólnym adresem, abonament obniża się na 20 fen. od egzemplarza.

Zamówienia przyjmuje Ekspedycya główna p. adr. „Nasz Przewodnik“,
Poznań — Posen, Piekary nr. 20-21
Bäckerstrasse 20-21

NASZ KĄCIK

List z wakacyj od Stasi Kruszonej.

Wielkie mnie szczęście w tym roku spotkało,
Bo na wakacye na wieś mnie wysłano,
Wybranych dzieci było bardzo mało,
Tem większa radość, że i mnie wybrano.
Gdy wyjeżdżałam próśb było bez liku,
— Pisz do nas ze wsi, — każde z dzieci krzyczy,
Może Opiekun w tym „Naszym kąciku“
Dla twoich listów gościny użyczy. —
Już nie pamiętam jak to wszystko było,
Z płaczem, z radością z Mamą się żegnałam,
Jak nas ksiądz zegnał, jakby mi się śniło
I jak koleją daleko jechałam.
Wieczór się zbliżał, dzień był bardzo skwarny,
Na stacyi czekał na mnie dziaduś stary
I wózek mały, i koń przy nim czarny
(Taki koń tutaj, nazywa się kary).
Dziaduś posadził mnie przy sobie blizko,
W drodze witały nas wciąż jakieś babki,
Wózek się chylił czasem bardzo nizko,
A ja ze strachu trzymałam się drabki.
Wreszcie przybyliśmy do starej chaty,
Ledwo ją widać, tak w drzewa schowana,
Dach miała szary i zielone łaty,
Przed chatą ławka żółto malowana.
Pamiętna zawsze na przestrogi Mamy,
Aby być grzeczną, by zaś nie myślano,
Że my się w mieście na niczem nie znamy,
Robię dyg nizki i zginam kolano,
Choć serce bije, ale mówię śmiało:
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Przyjmijcie dziecko, które przyjechało
Do Was z Poznania, od Jana Kruszony.
Wnet gospodyni do mnie przystąpiła,
Witajże do nas! kochana dziecino!
I tak jak Mama w objęcia mnie wzięła,
Pewnieś jest głodna moja ty kruszyno!
Do izby wiedzie i sadza za stołem,
Zaraz mnie mlekiem i chlebem częstuje,
Kilkoro dziatek otacza mnie kołem,
A mnie chleb z masłem wybornie smakuje.
No na dziś dosyć! bo wcześnie dziś wstałam,
Zaledwie zapiał kogut kukuryku,
I tak już długi liścik napisałam,
więc, do widzenia! znowu w tym kąciku!
Pozdrawiam mile pana Opiekuna
I wszystkie dzieci, **Stasinka Kruszona.**

M. R.

* * *



Legenda o malinach.

Gdy Pan Jezus chodził po świecie i nauczał, zdziałał mnóstwo cudów, za co rzesze całe uwielbiały Go i z namaszczeniem słuchały słów Jego.

A gdy uwielbienie dla Boskiego Mistrza rosło, faryzeusze i kapłani żydowscy ogłosili Pana Jezusa fałszywym prorokiem, a przyłączając się do rzesz słuchających, baczyli chytrze, aby Jezusa na jakiem domniemanem buntowniczem słowie przychwycić i lud od Niego odwrócić.

Jakoż zdarzyło się raz, że wielka grzesznica Marya z Magdali padłszy na publicznej drodze u stóp Chrystusowych wśród łez obfitych wyznała grzechy swoje, a Pan Jezus w nieskończonem miłosierdziu Swojem, wyrzekł do niej owe pamiętne słowa:

— Odpuszczają się grzechy twoje, — idź w pokoju!

Faryzeusze byli zgorszeni spodziewając się raczej potępienia, niż miłosierdzia dla jawnogrzesznicy.

A gdy Pan Jezus z uczniami oddalił się, podnieśli faryzeusze krzyk i naigrawali się z płaczącej wciąż jeszcze Magdaleny. Żydowskie wyrostki rzucały na nią grudki zeschłej gliny i naśmiewały się z niej.

Po niejakim czasie uniosła się piękna Magdalena, a zwróciwszy wzrok w stronę, w której znikł Jezus, rzekła z silną wiarą:

— On Bóg, On Mistrz!

— Niech złoży dowód, iż posłan od Jechowy — krzyknęli żydzi.

— Skoro się ulitował krwawych łez moich — rzekła Magdalena — i oczyścił mnie grzechami zbrukaną — Bogiem jest! Nie wzgardził mną jako ludzie, więc Bożem Wszechmiłosierdziem jest! On mocen z łez moich kwiat stworzyć, On mocen z żalu mego niepokalaną biel lilij utworzyć, On mocen wszystko uczynić, bo Bogiem jest.

— Dla nas wszeteczną pozostaniesz jako dotąd byłaś, ani biel lilij, ani kwiat żaden z łez twych nie wzrośnie, a glina drogi tej owocu nie zrodzi.

— Niech jutro o wschodzie słońca, zajdzie tu każdy, kto nie wierzy, a ujrzy, co z gliny wyrosło, a będzie to dowód oczyszczenia duszy mojej.

Szydząc rozeszli się wszyscy, bo słońce chyliło się ku ziemi i szkarłatem zachodu zabarwiało wszystko.

A Magdalena długo jeszcze płakała grzechów swoich i łzy jej serdeczne wsiąkały w glinę.

Wreszcie ucałowawszy ślady stóp Jezusowych Magdalena powstała i mimo nadchodzącej nocy pospieszyła w stronę, kędy znikł odradzający jej duszę Boski Nauczyciel.

* * *

Nazajutrz upał niesłychany dokuczał ludziom. Wobec zbliżającego się południa słońce paliło do tego stopnia, że rozgrzana ziemia parzyła stopy przechodniów.

Faryzeusze przespawszy wschód słońca, dopiero teraz zdążali na miejsce wczorajszego spotkania Jezusa z Magdaleną.

Pot ściekał im z czół, mimo to szli pospiesznie gnani ciekawością, żali ujrzą lilje, lub kwiat jaki na drodze.

I jakież było ich zdumienie, gdy rzeczywiście w pośrodku drogi, nie kwiat wątły, lecz krzaki rozrosłe ujrzeli. Drobne liście pokrywały gałązki, lecz zgoła inne były niż liście palm i drzew oliwnych.

Stali dumając nad prawdą słów Magdaleny, aż w oczach ich z pomiędzy liści wychyliły się ciemnoczerwone duże jagody i zapachniały nieznaną im wonią.

Wtedy jeden śmielszy z gromady zerwał ich kilka i spożył.

Rozjaśniło się oblicze jego i rzekł:

— Jeśli Magdalena takiej ochłody w spiekocie grzechów i win swoich doznała, jako ja w tej gorączce południa, prawym jest nauczyciel jej.

I faryzeusze skosztowali owocu, lecz mimo, że ochłody i osłody doznali, nie uwierzyły zatwardziałe dusze ich w Jezusa, a jeno pięści zaciskali w złości.

Postanowili nie zdradzić nikomu, że ożywcze, czerwone maliny wyrosły ze serdecznych łez żalu pokutującej Magdaleny.

* * *





Główna ulica Sackville w Dublinie, którą podczas ostatniego powstania zbombardowało wojsko angielskie.

Stefania Tuchołkowa.

GORAJ

Powieść na tle czasów Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego.

Napisana w 950-siątą rocznicę zaprowadzenia chrzescijaństwa w Polsce.

19)

(Ciąg dalszy).

Ale ona wiedziała, że to ostatni jej sen na ziemi. Z tej cichej świetlicy, w której przeważnie życie jej upłynęło, wybierała się w daleką, daleką drogę, z której się już nie powraca. I przed zaśnięciem żegnała raz jeszcze w myśli wierną służbę i domowników i męża i syna i Dobrochnę i jej złotowłosą Bożenkę i groby ojca i matki i całą tę ziemię ojczystą, w której jej ciało spocząć miało, lecz dusza jej, jak ptak, zbierała się do odlotu do wiekuistej ojczyzny.

Oddech równy i spokojny podnosił jej piersi. Zasypiała zwolna, cicho i spokojnie.

I mimo największej czujności Goraja, mimo drzwi zaryglowanych wszedł do świetlicy gość nieproszony, którego wejścia nawet kochający mąż, ani wierna dworka nie posłyszeli, — gość okrutny, — śmierć nieubłagana, która zwolna, zwolna skradała się ku łożu Bogny i tlącą w niej jeszcze iskierkę życia niepostrzeżenie zgasiła.

— Zasnęła i zbudzi się — zdrową — myślał Goraj i pochylił się nizko nad łożem. W tej chwili spostrzegł dopiero, że żadne tchnienie oddechu nie porusza już piersi leżącej. Pochylił się jeszcze niżej, dotykając ustami jej ust lekko rozwartych.

Wargi jej były, jak lód zimne, zbielałe.

Zwrócił się do Dobrochny: Ratuj, ocuć panią.

— Panie, małżonka twoja zasnęła na wieki — odrzekła — płacząc Dobrochna.

Krzyknął przeraźliwie, a potem ukląkł i wzniósłszy wzrok błagalny ku wiszącemu nad łożem Bogny krzyżowi, poraz pierwszy w życiu modlić się począł do Ukrzyżowanego:

O Chryste, wyznawcy Twoi głoszą, żeś Ty wszechmocny, więc wszystko możesz uczynić; głoszą, żeś miłosierny, więc miej miłosierdzie nademną. Tyś jest potężny, bo życie wszystkich ludzi w Twem ręku, a jam wobec Ciebie tak mały, bo nawet jednego drogiego mi życia przedłużyć nie mogę. Ty jesteś nieśmiertelny, więc istnieć będziesz wiecznie, a dnie mego żywota prędzej lub później przeminą. Tyś samą dobrocią, a ja częstokroć powodowałem się złością, ale właśnie dlatego okaż Twą wszechmoc, Twe nieprzebrane miłosierdzie i wróć życie Bognie.

I umilkł, oczekując cudu.

Lecz Chrystus rzezany z drzewa, wisiał nieruchomy na krzyżu, ze zwieszoną nizko, w cień uwieńczoną głową, a bolesna twarz Jego, jakby boleśniejszą się jeszcze wydawała na tę rozpaczliwą prośbę, płynącą z głębi rozdartego serca ludzkiego.

— Oddaj mi ją, wróć jej życie, o Chryste, a wyrzeknę się bogów ojczystych i ukorzę przed Tobą — wołał Goraj.

Ale Chrystus milczał, a Bogna leżała wciąż martwa.

Wtedy zrozpaczony Goraj odgrażać się począł:

— Nie chcesz mnie wysłuchać, Boże chrześcijan — a kapłan Twój okłamał mnie, obiecując dać Bognie życie, więc nie chcę nic wiedzieć o Tobie, wierze Twej i Twym wyznawcom wypowiadam walkę aż do ostatniego tchnienia.

I zmożony bólem i gniewem, osunął się bezwładny, jakby bez życia, przy łożu, na którem spoczywały zwłoki jego umiłowanej Bogny.

II.

Między mogiłami obojga rodziców spoczęła Bogna na żalniku pogańskim, lecz pochowana podług obrządku chrześcijańskiego.

Nieutulony w żalu syn sam w złożone jej, jak do modlitwy, dłonie włożył krzyżyk; a św. Wojciech pokropił wodą święconą zwłoki i wraz z Radzimem odprowadził do grobu.

Nikt się temu nie sprzeciwiał; stary Goraj bowiem leżał bezprzytomny, nie mogąc poruszyć się, ni dobyć głosu.

Załoga, ni czeladź zamkowa nie śmiała sprzeciwiać się rozkazom syna Gorajowego; zresztą przy pokropieniu zwłok tylko Radogost i Dobrochna z mężem i córką byli obecni, a inni nawet o tem nie wiedzieli.

Nie dziwiło też nikogo, że śmiertelnych szczątków Bogny nie spalono na stosie, gdyż chrześcijański obyczaj składania zwłok w domowinkach (czyli trumnach) już wówczas poganie częściowo przejmować poczęli.

Nikt też nie śmiał sprzeciwiać się temu, że św. Wojciech i brat jego, których sam pan sprowadził do zamku, uczestniczyli w pogrzebie pani.

Tak więc choroba ojca dozwoliła osieroconemu synowi spełnić gorące życzenie zgasłej matki, by ją pochowano tak, jak tego chrześcijański obrządek wymagał.

Ludność okoliczna markociła się tylko z tego powodu, że przy pochowie tak możnej pani nie wyprawiono sutej stypy, lecz uchylenie się od tego zwyczaju można było uniewinnić ciężką niemocą pana zamku.

A stary Goraj leżał na swem, skórą niedźwiedzią zasłanem łożu, jak bez życia; nie słysząc nic, co do niego mówiono i snać nic też nie wiedząc, gdyż oczy jego, kędyś przed siebie wpatrzone, nie rozpoznawały tych, co się do niego zbliżali.

Na łoże niemocy nie powaliła go żadna dolegliwość ciała, na którą leków byłoby trzeba; to dusza, ciosem okrutnym ugodzona, drętwiała w nim z bólu, który odbierał mu siłę ramienia i przytomność umysłu.

Jakby już martwy, przeleżał dni kilka w kamiennej nieruchomości, nie przyjmując do siebie żadnego pokarmu, ni napoju. Zwolna jednak przytomność wracać mu poczęła; lecz ogarnęło go jakieś zobojętnienie na wszystko. O nic się nie troszczył, o nic nie pytał. Zapytywany zaś o rozkazy, lub życzenia, niecierpliwił się i ręką wskazywał na syna, dając tem znać, by się ze wszystkiem do niego zwracano. Jadł i pił tylko wtenczas, gdy go, jak małe dziecię, karmiono i pojono i to tylko niewiele, bo ledwie cokolwiek głód i pragnienie zaspokoiwszy, odtrącał już z niechęcią od siebie podawane mu jadło i napój.

I gdy tak leżał, jakby zobojętniały na wszystko, można było myśleć, że już tak bardzo bólu nie odczuwa i że o niczem nie myśli.

A jednak tak nie było. Choć się nie skarżył, choć oczy miał suche, dusza w nim płakała niewypłakanemi łzami, a myśl stęskniona ustawicznie krążyła naokół wspomnień o tej drogiej zmarłej. Ni razu nie wymówił imienia Bogny, a jednak w długie, nieskończenie długie, bezsenne noce zimowe przyzywał ją do siebie bez słów, jedynie niemym krzykiem i pragnieniem serca. Ciemne zaś dotychczas włosy w tym krótkim przeciągu czasu naraz mu pobielały.

Znów mu przeszło kilkanaście dni, jakby martwych, jednostajnych, których treścią była bezbrzeżna boleść i tęsknota za zmarłą. Na dnie każdej myśli, każdego odruchu woli i pragnienia była ta umiłowana, która od niego odeszła na wieki.

Po upływie tych dni kilkunastu dźwignął się naraz z łoża i niespodziewanie zbroić się załodze i siodłać konie kazał, przynaglając wszystkich do pospiechu.

Pierwszy dosiadł rumaka, a gdy się wokół niego zebrała zbrojna drużyna, czekając jego rozkazów, rzekł:

Zaopatrzcie się jeszcze w żagwie, smolne łuczywa, hubki i krzesiwka.

W mig wypełniono rozkaz, a wtedy Goraj wskazując na odległe, lecz ze szczytu góry widne w dali sioło, zawołał:

— Tam w dali wznosi się dwór Poraja, gdzie dziś w niespodziane odwiedziny pospieszymy. Kto w sercu zachował wiarę i cześć bogów ojczystych, naprzód, za mną!

Zadudniły kopyta końskie po zwodzonym moście, poczem wjechano na drogę wijącą się w dolinie wśród śnieżnym kobiercem okrytych właśnie łąk.

Goraj wypuścił konia w cwał i gnał, jak szalony, by czemprędzej stanąć u celu.

Stary Poraj, głowa rozrodzonego licznie Porajów rodu, zwany tak od nadanego mu przez polskiego knezia szczytu, (czyli herbu) pochodził z Czech, z rodu Sławników i był najstarszym bratem św. Wojciecha.

Przy zwłokach żony poprzysiągł Goraj pomścić jej śmierć na wyznawcach chrześcijańskiej wiary; toć ten pragski biskup, którego on sam do dogorywającej Bogny przywołał, obiecał mu kłamliwie dać jej wieczne życie; a może właśnie przeciwnie biskup spełnianiem przy chorej tych nieznanych Gorajowych praktyk, dobił ją umyślnie. — Otóż w starym Poraju ta sama krew płynęła, co i w tym biskupie — mnichu; więc na jego rodzie nasamprzód chciał Goraj pomstę swą wywrzeć.

I zdawało mu się, że przelewając krew chrześcijańską, zdoła w jej strugach boleść swą utopić, że dręcząca go tęsknota za zmarłą rozwieje się wraz z dymami, unoszącemi się nad zgliszczami spalonych domostw chrześcijańskich.

I byłby niezawodnie stary Poraj wraz z żoną, dziećmi i wnukami padł ofiarą pomsty i zawziętości Goraja, gdyby nie to, że właśnie na szczęście znajdował się wraz z całą rodziną na dworze Chrobrego.

Dopadłszy więc ze swą drużyną do drewnianego, na dachu słomą tylko tak, jak chaty kmiece krytego dworu, musiał się Goraj zadowolnić pojmaniem chrześcijańskiej czeladzi dworskiej, a ogołociwszy dworek z wszelkich znajdujących się w nim bogatszych przedmiotów, srebrnych mis i kubków, lśniących zbroi i cennych, stosami w komorze leżących futer, podpalić go kazał na czterech węgłach.

Łatwo zajął się drewniany dworek.

Goraj z krwią nabiegłemi oczami stał opodal, przyglądając się, jak pożar, niby potwór wielogłowy, z niezliczonych ognistych swych paszcz wyrzucał stosy iskier i kłęby dymu; jak tysiącami ognistych swych, coraz więcej wydłużających się języków lizał słomiany dach i drewniane ściany.

Ale nietylko wzrok widokiem, lecz i słuch odgłosem pożogi nasycał chciwy pomsty rycerz.

I przysłuchiwał się pilnie, jak coraz bardziej dwór ogarniający pożar dudnił i syczał wśród krokwi i huczał, obejmując belki i wiązania w swe palące uściski, szalejąc żądzą zniszczenia.

I sądził rycerz, że to go rozerwie i da mu choć chwilę ulgi i zapomnienia, lecz omylił się. Tem żywiej stanęła mu przed oczyma duszy ta, której już oczyma ciała na tym świecie oglądać nie miał.

Toć ongi przed laty wierny Jurga z narażeniem własnego życia wyniósł tę jego umiłowaną też właśnie z płonącego, jako ten, dworu. Omdlałą, odebrał ją z rąk sługi i tulił w objęciach; lecz teraz nigdy już jej do swego serca nie będzie mógł przytulić, bo już jej nie ma na tym świecie.

I na to wspomnienie tem dotkliwsza, tem głębsza żałość ścisnęła jego sercem. Odwrócił się więc od widoku pożaru i popędził z powrotem ku zamkowi, a za nim jego drużyna, wiodąca jeńców i łupy.

III.

Ległszy późną godziną na łoże, nie mógł znużony wyprawą Goraj zasnąć ani na chwilę. Dręczyły go wspomnienia dnia. Chcąc je odegnać, zerwał się nocą z łoża i jął srogie wydawać rozkazy.

Przy pozapalanych pochodniach zstąpił z wybranymi przez się pachołkami do podziemia, gdzie leżeli niedawno przywiedzeni jeńcy z dworu Poraja.

Spętanych do krwi smagać kazał, chcąc jękami ich zgłuszyć rozdzierający mu serce ból, a oczy swe nasycić widokiem ich kaźni. Nieomal do świtu rozlegał się w podziemiach świst rózg i głuche jęki katowanych.

Napróżno Radogost włóczył się u nóg ojca, błagając go o litość. Zawzięty w bólu swym i mściwości Goraj, nie zważał nawet na błagania jedynego syna, którego po Bognie najwięcej na świecie miłował.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Grzech przeszłości.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO.

7)

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Julia piła herbatę zawsze w łóżku, nie wstawała bowiem nigdy przed jedenastą.

Po rozmowie swej z ojcem nie czuła się ani szczęśliwą, ani zadowoloną i mówiła sobie otwarcie, że oczekiwała innego zupełnie rezultatu. Chęć pomsty była zaspokojoną, lecz nie w takim stopniu, w jakim tego pragnęła — może wyraz rozpaczy na twarzy ojca wzruszył jednak cokolwiek jej serce zimne i nieczułe.

Wiedziała, że Carlos należy do niej, lecz i to nie sprawiało jej żadnej radości, nic jej bowiem na nim nie zależało. Z początku chodziło jej o jego pieniądze — nie znając dotychczas rozkoszy świata, chciała ich w całej używać pełni. A gdy się dowiedziała, że Carlos jest narzeczonym „tej innej", wtedy postanowiła go zabrać nieodwołalnie na swoją wyłączną własność.

Udało to się jej znakomicie, Carlos poza nią świata nie widział, pomimo, że znał jej przeszłość i charakter. Był on doskonałem narzędziem zemsty w jej rękach.

I pijąc teraz herbatę namyślała się nad tem, czy umówić się z nim na jesień w Paryżu, czy też zmusić go do zerwania zaręczyn i do wyjazdu z nią do Wiednia? Że Carlos wypełni wszelkie jej życzenia, o tem nie wątpiła ani na chwilę!

Po wypiciu herbaty zaczęła czytać gazety. I nagle ujrzała „Skeffington" dużemi wydrukowane głoskami...

W wiadomościach „z towarzystwa" był opis balu u księżnej Brotherton, a poniżej... że lord Robert Morell z Skeffington odebrał sobie życie, dnia jedenastego b. m. wystrzałem z rewolweru. Kula przeszyła serce i śmierć nastąpiła natychmiast.

„Samobójstwo z przyczyn niewiadomych".

Julia spojrzała jeszcze raz na datę — jedenastego — a więc nazajutrz po ich rozmowie!

Przez chwilę leżała cicho i spokojnie, aby uporządkować myśli, a gdy po upływie kilku minut weszła służąca, znalazła gazetę na ziemi i panią swoją strasznie bladą...

Wiadomość o śmierci lorda Roberta powinna była ucieszyć Julię — było to szczytem jej tryumfu, a jednak żadnej nie czuła radości. Jej pragnienie zemsty było zadowolone, nieprzyjaciel nie żył, ale teraz przyszło jej na myśl, że ten człowiek o siwych włosach i jak śmierć bladej twarzy, był jej ojcem.

I co osiągnęła?

— On zamordował ją — ja zamordowałam jego, — powtarzała nieustannie.

Ale fakt, że matka i ojciec odebrali sobie życie, wstrząsnął jednak trochę jej nerwy.

Wiedziała teraz, co ma uczynić.

Zadzwoniła na służącą i rzekła do wchodzącej:

— Betty, zapakuj natychmiast moją osobistą garderobę — reszta może zostać. Wyjeżdżam o drugiej!

— Ale pani występuje dziś wieczorem...

— Tak? Wszystko jedno, zmienić tego nie mogę. Muszą sobie dać radę bezemnie, ja odjeżdżam!

— Czy pani zerwie kontrakt? — pytała dalej ciekawa Betty.

— Tak, nikt w świecie nie może mnie zmusić do śpiewania, jeżeli ja nie chcę! Zabieraj się do pakowania — jadę sama. Ty pilnuj reszty moich rzeczy!

— Jak pani każe!

Po odejściu Betty, napisała Julia następujący list:

„Kochany Carlosie!

Uważam, że najwyższy czas, abym wypełniła twoje życzenie i wróciła ci wolność. Lepiej, że się rozstaniemy bez pożegnania, nie staraj się zobaczyć mnie, bo to daremne! Gdy list ten dojdzie rąk twoich, będę już poza granicami Anglii. Przypuść, że jestem w Paryżu albo w Petersburgu! Nie, żartuję, zmieniłam moje plany i nie będę tam występować. Zatęskniłam za Ameryką, mam nadzieję, że za tydzień stanę w Nowym Jorku. Muszę ci wyznać otwarcie, że byłeś mi tylko środkiem do pewnego celu, i że osobiście bardzo mi byłeś i jesteś obojętny!"

— Czy mam napisać, — myślała, — żeby się ożenił z tą inną? Nie potrzeba, on to uczyni sam z siebie. Może jest już u niej — chciałabym ich widzieć razem i gdyby nie — ten — trup w Skeffingtonie, byłabym tam pojechała, ale tak — nie mogę!

ROZDZIAŁ XVIII.

Gdy Dennison otrzymał nazajutrz list Julii, rozerwał kopertę z szaloną radością, lecz zarazem i pewnym niepokojem.

Bawił on już od trzech dni w Londynie i list ten przyniesiono mu, gdy jadł śniadanie w hotelu. Julia bowiem wrzuciła go wieczorem dopiero w skrzynkę w pociągu.

Cały stos gazet leżał na stole, Carlos jednak, nietylko, że od trzech dni żadnej nie czytał, ale nadto nie wychodził prawie wcale z mieszkania. Cały dzień przebywał u Julii, wieczory zaś spędzał sam w hotelu. Nie widział więc nikogo z znajomych i nie miał pojęcia o tem, co się w Skeffington stało.

Czasem czuł sam dla siebie obrzydzenie, wstydził się bowiem niezmiernie swego postępowania względem Gisy. Zrywał się wtedy, chciał wracać do niej, lecz myśli jego tak były zajęte Julią, że nie miał siły wyrwania się z pod zgubnego jej wpływu.

A przecież kochał Gisę! Kochał jej duszę czystą i szlachetną, kochał jej piękność i wiedział, że bez niej niema dla niego szczęścia na świecie. Lecz Julii nie mógł się wyrzec, nie mógł żyć bez słyszenia jej cudnego głosu, bez patrzenia na jej królewską urodę.

I stawiał sobie nieraz pytanie, czy może się żenić z Gisą? Czy jest jej godnym?

Gdy przeczytał list Julii, zerwał się jak szalony, wybiegł na ulicę, wskoczył do pierwszego lepszego automobilu i po upływie dziesięciu minut był w jej mieszkaniu. Odepchnąw-

szy służącego, przysięgającego, że pani niema, przebiegł wszystkie pokoje i wtedy poznał, że Julia nie żartowała.

— Wyjechała — wczoraj? — zawołał.

— Tak milordzie, o drugiej.

— Dokądi Przecież musiała adres jakiś zostawić!

— Tak jest, do Nowego Jorku!

— Nie wierzę!

Co się potem z nim działo, tego już sam nie wiedział. Mechanicznie wrócił do hotelu i zadziwił się, gdy wieczorem znalazł się nagle w domu.

Tu go oczekiwała inna, straszniejsza jeszcze wiadomość. Dowiedział się o samobójstwie lorda Roberta...

Co on uczynił, Boże wielki, co uczynił? Szalał za kobietą, która go wykluczała z towarzystwa i zostawił Gisę, narzeczoną, bez pomocy i pociechy w smutku, jakiego nie wiele doznaje ludzi!

Carlos był tak przygnębiony, że nie śmiał nawet jechać do Skeffington. I chociaż nikt mu nie opowiadał przebiegu tego nieszczęścia — Julia bowiem zachowała wszystko w najściślejszej tajemnicy, to odgadł jednak całą prawdę, o tyle, o ile nie tyczyło to osobistego stosunku Julii i lorda Roberta.

Przypomniała mu się teraz prośba przyszłego teścia o przyspieszenie ślubu i to umocniło go w tem przekonaniu. Lecz czemu lord Robert stracił nagle wszelką nadzieję?

Powodem całego nieszczęścia mogła być tylko Julia — wszakże pisała wyraźnie, że uważała go tylko za środek do celu! I na myśl o tem uczuł formalną nienawiść dla tej czarodziejki i cieszył się z całego serca, że więzy te na zawsze są zerwane.

I myśli jego zwróciły się znów do Gisy, do tej jedynie ukochanej dzieweczki, której nie czuł się godnym. Ale wiedział, że ona jest jego ratunkiem, jego zbawieniem, i że całe jego życie nie starczy na wynagrodzenie krzywdy, jaką jej wyrządził!

ROZDZIAŁ XIX.

Dwa dni minęły, a Carlos nie miał jeszcze odwagi jechania do Skeffington. Drżał na myśl, że szczęście jego minęło bezpowrotnie. Chodził z jednego pokoju do drugiego, jeździł konno lub wpatrywał się w zegar. Czekał ciągle na coś, nie wiedząc sam, na co.

Po obiedzie wyszedł do parku. Upał był dziś szalony, wszystkie kwiaty opuszczały smutnie główki, bliskie zwiędnienia. Woda w strumieniu nawet płynęła dziś wolno i ptaszki milczały.

Mimowoli szedł Carlos tą samą drogą, którą prowadził wówczas Gisę, gdy tu była poraz pierwszy. I gorąca tęsknota za tą niewinną, szlachetną dziewczyną ogarnęła na nowo całą jego istotę. Pół życia byłby oddał z rozkoszą, gdyby ją miał teraz tu przy sobie, gdyby mógł patrzeć w czyste, błękitne jej oczy i słyszeć głos jej słodki.

Ale wieczór zbliżał się i dzień znów był stracony.

Gdy wrócił do domu, poszedł do swego pokoju, lecz zaledwie otworzył drzwi, stanął jak wryty.

Przy oknie stała mała, drobna postać w czarnej sukni...

— Lady Mary. — zawołał, własnym nie dowierzając oczom.

— Tak, to ja... — szepnęła cichutko.

Potem spojrzeli sobie oboje w oczy...

— Przyszłam po pana, — odezwała się lady Mary, — Gisa czeka!

— Czy Gisa przysłała panią tutaj? — zawołał, a oczy jego błysnęły radością.

— Nie, ona nie wie, że jestem u pana, ale wiem, że czeka na pana! Gisa jest chora — nie lękaj się, nie umrze! Przerażenie zbyt wielkie było dla niej — tem większe, że już poprzednio upadła trochę na siłach, ale szczęście wnet ją uzdrowi! Dlatego przyszłam do pana!

— Nie byłabyś pani jednak przyszła, — odrzekł Carlos zmieszany, — gdybyś wiedziała...

— Wiem dużo — reszty domyślam się!

— Czy... lord Robert — pozostawił — jakie wyjaśnienie swego czynu?

— Nie! Nie potrzebuję też żadnego wyjaśnienia! Wiedziałam od dawna, że grozi nam ruina majątkowa — teraz wiem, że straciliśmy wszystko!

— Nie wspominał o tem, że wątpi o mnie? Bo ja wiem, że wątpił o mnie zupełnie!

— Owszem, mówiliśmy o tem!

— Wymienił może jakie nazwisko?

— Tak, nazwisko bardzo pięknej kobiety!

— I pani wiesz, że podejrzenie jego było uzasadnione?

— Tak.

— I pomimo to masz pani odwagę połączenia mnie z Gisą?

— Myślę, że byłeś pan słaby, ale jestem przekonaną, że kochasz Gisę!

Carlos zdumiał.

Jaka dziwna zmiana nastąpiła z tą niepozorną, cichą kobietą? Wewnętrzna jakaś godność nadała piękności tej małej, drobnej postaci, zdawało się, że zupełnie inną stała się osobistością! Lecz tylko przeświadczenie, że odpowiedzialność za szczęście dziecka na niej spoczywa, mogła w ten sposób nieśmiałą zmienić kobietę. Ona sama nigdyby nie była dawniej myślała, że będzie się umiała zdobyć na krok tak stanowczy. Nie pytała nawet o to, co świat by powiedział na to, że matka, dowiedziawszy się o kompletnej stracie majątku, prosi milionera, aby się z córką jej ożenił! Co jej zależało na mniemaniu całego świata, jeżeli pragnęła zdrowia i szczęścia ukochanego dziecka!

— Pan kocha Gisę, nieprawda? — spytała, patrząc mu badawczo w oczy.

— Kocham ją — ją jedną tylko, ale — ale pani nie wiesz całej prawdy! Musisz najpierw poznać moją niegodziwość, potem dopiero zadecydujesz, czy jestem godnym mego szczęścia, czy nie!

I szybko, bez tchu nieomal, opowiedział lady Mary historyę swej szalonej, bezpamiętnej miłości dla Julii i odkrył jej całą słabość i chwiejność swego charakteru.

W pokoju ciemno już było zupełnie, a jednak nie miał odwagi spojrzenia w twarz kobiecie, która miała wyrok wydać na niego.. Z spuszczoną głową i zaciśniętemi ustami czekał na jej potępienie — czego innego nie mógł się przecież spodziewać

Mała, czarna postać przysunęła się do niego.

— Ale pan kochasz Gisę? — szepnęła, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Bóg mi świadkiem, jak ją kocham, — rzekł z głębokiem westchnieniem, — żadnej kobiety nie kochałem tak, jak kocham Gisę!

— Więc chodź pan ze mną! — zawołała lady Mary radośnie. — Na co czekać tak długo? Powiedziałam panu już, że Gisa czeka!

— — — — — — — —

— — — — — — — —

Pół godziny później klęczał Carlos przy łóżku, w którem od trzech dni, w gwałtownej gorączce, leżała Gisa. I z miłością i czcią przyciskał do ust białą rączkę, która z taką rozkoszą w jego spoczywała dłoni.

Twarz lady Mary promieniała. Raz przynajmniej w życiu postąpiła podług własnego przekonania i postąpiła dobrze.

— Przyprowadziłam go do ciebie, — powiedziała Gisie, — bo sam nie mógł się na to odważyć!

I Gisa wiedziała, że teraz wszystko już dobrze, chociaż nie zawsze dobrze było i z uśmiechem szczęścia obie podała mu ręce, niezdolna do ukrywania swej miłości.

Były to powtórne ich zaręczyny, może nie tak wesołe i swobodne, jak pierwsze, ale oparte teraz na gorzkiem doświadczeniu i uświęcone uroczystą powagą żałoby.

Lord Robert, którego zwłoki miały być jutro do rodzinnego złożone grobu, nie wiedział, że grzech jego młodości został odpokutowany, i że przez śmierć swoją dobrowolną osięgnął to, czego mu życie dać się wzbraniało!

K O N I E C.

Zamek nad Czarnem morzem.

Powieść.

1)

I.

Jedna z tych gwałtownych burz, które rok rocznie w jesiennej porze wzruszają do głębin wody Czarnego morza, była właśnie minęła. Całą noc huczał szalony wicher, a z rana jeszcze trudno się było utrzymać na nogach temu, co się odważył wyjść na dwór. Ale około południa niebo wypogodziło się nagle, wiatr ustał, a słońce październikowe tak ciepło i świetnie zajaśniało na błękitnym niebios przestworze, jakby drugą wiosnę zwiastować chciało. Tylko morze było jeszcze niespokojne, a jego wzburzone bałwany z hukiem podobnym do grzmotu przelewały się na piasczyste wybrzeża, które się rozciągały u stóp bukami i dębami porosłej góry.

Było to dziwne przeciwieństwo, to błyszczące słońce, to błękitne niebo, te spokojne już gdzieniegdzie czerwieniejącem się liściem pokryte drzewa, ta głęboka cisza w około, a tam w dali te wzburzone aż do obłoków piętrzące się bałwany, które się gwałtem na ląd wciskać zdawały, a potem omdlałe zwolna wracały do morza, mrucząc rozpaczliwie nad daremnem wysileniem.

Jak daleko oko zasięgnąć zdołało nie było widać żadnego statku, ani nawet odważnego parowca, tylko ptaki morskie ulatywały nad powierzchnią wzburzonego żywiołu. Ale nie! Tam w dali prawie u krańców widnokręgu ukazuje się punkt ciemny. Gołem okiem dostrzedz go trudno, ale za pomocą lunety możnaby rozpoznać łatwo czy to statek w biegu, czy w niebezpieczeństwie, lub już rozbity.

I taka luneta była teraz zwróconą na niego z balkonu pokaźnego budynku, który się wznosił na wysokiej górze tuż po nad brzegami morza i tak przez wspaniałość budowy jako i obszerność na miano pałacu zasługiwał.

Na eleganckim obszernym balkonie, otoczonym żelazną galeryą, ozdobionym kwitnącemi kwiatami w wazonach i różnemi pnącemi się roślinami, siedziały około stołu przy kawie cztery osoby, dwie starsze i dwie młodsze. Pan domu hrabia Pahlen wysoki, chudy mężczyzna ubrany w wygodny, długi szczelnie zapięty ubiór negliżowy, lubo nie liczył więcej jak lat pięćdziesiąt i kilka, miał już włosy i brodę siwizną zaprószone. Wysokie czoło jako i całe oblicze pokryte było głębokiemi zmarszczkami. Krzaczyste siwe brwi zwieszały się prawie na blado niebieskie oczy, nieodbierając im przecież przenikliwości i blasku. Zresztą w całej jego postaci malowała się jakaś dziwna mieszanina dumy, tajemniczości i cierpienia, które na pierwszy rzut oka wstrętne robiły wrażenie. Obok niego siedziała kobieta o kilka lat młodsza, którą po eleganckiem lecz wygodnem ubraniu łatwo jako panią domu rozpoznać było można. Jej twarz lubo niegdyś piękna być mogła, miała wyraz dumy i surowości, podwyższony jeszcze przenikliwem spojrzeniem ciemnych jej oczu. Naprzeciwko tej pary siedziały dwie młodsze osoby. Dziewczyna ośmnastoletnia nader ujmującej powierzchowności o rysach regularnych twarzy, błękitnych oczach i czarnyh jak heban włosach i trzydziestoletni mężczyzna, którego po zarozumiałym wyrazie twarzy jako i ułożeniu ciemnych włosów, pomimo cywilnego ubioru, jako dymisyonowego wojskowego poznać łatwo było. Ten zdawał się nader ożywiony, mówił wiele i wesoło, lubo młoda panienka nie zdawała się wcale podzielać tej wesołości i spoglądała często w stronę gdzie się prześliczny widok na morze otwierał, zwłaszcza gdy ją zbyt śmiało jego spojrzenia ścigały.

Pani domu była nim bardziej zajętą, stary pan zaś patrzał coraz częściej na morze przez stojącą obok niego na sztelugach lunetę.

— I cóż tam widzisz Franciszku? — zapytała pani, gdy przez kilka minut nie odejmował od oka lunety.

— Rozbity statek, — odpowiedział krótko, a potem wstał i wyrzekłszy kilka uprzejmych słów do żony, oddalił się z balkonu.

Wkrótce potem młoda dziewczyna podniosła się także z miejsca, a mówiąc, że zapomniała wysłać posłańca do miasta, wyszła spieszno.

Tak więc została pani domu sama z młodym panem.

— Rzeczywiście nader miła osoba, — rzekł tenże patrząc za odchodzącą i pokręcając wąsa. — Ale przyznaj sama łaskawa pani, iż niezdaje się, abym dotychczas jakie korzystne dla mnie zrobił na niej wrażenie. Powiedz pani otwarcie, czy nie jesteś tego samego zdania?

— Ależ panie kapitanie Suwarów, — rzekła pani z uprzejmym uśmiechem, — nie możesz przecież wymagać, aby młoda panienka robiła ci jakie grzeczności, lubo pan może z dawniejszych czasów jesteś tego zwyczajnym. Moja siostrzenica pomimo swej łagodności jest dość samoistnego

usposobienia. Nie da się wziąść szturmem jak to panowie lubicie. O jej względy trzeba się starać usilnie i długo.

— Ma łaskawa pani, zupełną słuszność, — odrzekł kapitan zarozumiale, tak samo osądziłem charakter hrabianki Kornelii. Lecz czyż nie dość już usilnie staram jej się przypodobać?

— To prawda, odrzekła pani, — lecz pan wymagasz za wiele; niemasz jeszcze dwóch miesięcy jak przybyłeś w te strony i pierwszą nam wizytę oddałeś. To zbyt krótki czas do zdobycia serca zupełnie wolnego. Kornelka jeszcze nigdy o tem nie pomyślała nawet, żeby kto na seryo zamierzał starać się o jej rękę.

— Serca zupełnie wolnego, — powtórzył kapitan, przysuwając się z krzesłem bliżej do kanapy, na której siedziała starsza pani. Czy pani jesteś zupełnie pewną, że serce hrabianki nie jest już przez kogo innego zajętem?

Pani spojrzała nań uważnie swemi ciemnemi przenikliwemi oczyma. W jego twarzy zabłysł wyraz ciekawego oczekiwania.

— Nie wiem nic a nic panie Suwarów, coby mnie mogło spowodować do podejrzywania Kornelii o jaką tajemną miłość, — rzekła wzruszając wolno głową.

— Uważam tylko, że siostrzenica moja zbyt jest nieśmiałą. Domyśla się też może, że tu chodzi o coś więcej jak o przemijające składanie hołdów. Gdyby nie to, byłaby dla pana uprzejmą jak dla wszystkich; ale myśl, że pan masz tak poważne względem niej zamiary, zatrważa ją i onieśmiela, co podług mego zdania, pan na swą tylko korzyść tłumaczyć sobie możesz.

— Jestem pani nieskończenie wdzięczny za te słowa pełne dla mnie otuchy, rzekł kapitan całując podaną sobie rękę. Ufam pani zupełnie. Ja z mej strony wyznać muszę, iż jeszcze w życiu nie byłem żadną panną tak zajęty jak panną Kornelią, ona jedyna w świecie zdołałaby ze mnie zrobić poważnego człowieka.

— Czy pan chcesz przez to powiedzieć, że wątpisz jeszcze o sobie? — rzekła pani domu spoglądając na niego badawczo.

— O nie, to żart tylko, — rzekł kapitan śmiejąc się.

— Jest to przecież znajomą rzeczą; dodał, — że młodzi ludzie, którzy trochę za nadto używali świata, najlepszymi są mężami. Nie będziesz pani potrzebowała żałować swojej względem mnie protekcyi.

Przestał mówić, bo pani domu, która spojrzała po za galeryą balkonu, powstała nagle z miejsca.

— Cóż to jest? — zawołała z przerażeniem. — Mój mąż tam na dole na wybrzeżu? — Wyciągają czołno ze szopy, cóż to znaczy? Czy on chce wyjechać na morze? Niepodobno! A przecież ten rozbity statek.

— Jeżeli odkrył, że życie ludzkie jest w niebezpieczeństwie, gotów własne życie narazić, jak to już nieraz uczynił. Jest to jego mania, szaleństwo istne, które mnie już nieraz do rozpaczy przywiodło. Na Boga tak, każe przynosić żagle — nie ścierpię tego! — Muszę pobiedz na dół, nie puszczę go na morze! — Wybacz panie kapitanie.

I to mówiąc wybiegła z balkonu. Młody człowiek, który słuchał uważnie jej słów pogładził wąsa i spojrzał na wybrzeże.

Pagórek, na którym pałac był zbudowany, pochylał się ze strony morza tak spadzisto, iż można z niego doskonale było widzieć, co się na wybrzeżu działo. Na dole pod samą górą stała obszerna szopa, przeznaczona do umieszczania w niej czołen i łodzi w czasie zimy lub gdy morze zanadto wezbrało, by można się puszczać na nie. Z tej szopy wywindowano łódź średniej wielkości. Kilku ludzi przytwierdzało żagle i ster. Pan domu teraz w krótkim z woskowanego płótna kawtanie i kapeluszu o szerokim brzegu, stał obok niej i wydawał krótko rozkazy.

— Chciałbym iść tam na dół i przypatrzeć się staremu dziwakowi, jak wśród tych rozhukanych bałwanów wybiera się na morze, pomyślał kapitan Suwarów, ale on gotówby mnie powołać ze sobą, a do tego niemam najmniejszej ochoty. Co u dyabła tkwi pod tą manią ratowania czyli szaleństwem, jak to moja protektorka słusznie nazywa.

Gdy się dom pali, budynek zawala, lub statek tonie zaraz ten dziwak jest na miejscu, i ryzykuje zdrowie i życie, dla ladajakiego, nic nieznaczącego stworzenia, chociaż bliźnich wcale wysoko nie ceni i jest dumny jak każdy z jego kliki. Lecz weźmy tę lunetę do ręki.

Trwało dość długo, zanim młody człowiek zdołał zobaczyć czarny punkt na dalekim widnokręgu. Ale wreszcie ujrzał wśród piętrzących się bałwanów rozbity statek bez masztów i żagli, unoszący się zwolna na falach. Zdawał się być przednią częścią małego okrętu. Około niego poniewierały się kawały poszarpanych od wichru żagli. Na przodku zdawała się postać jakaś ludzka klęczeć czy siedzieć, oparta o pień złamanego masztu.

— Do licha, nie chciałbym być w tem położeniu, rzekł z przerażeniem kapitan. Bałwany mogą lada chwilę pochłonąć rozbity statek, a człowiek, który tam siedzi musi być zmiażdżony od tryskającej nań wody. Czy ten stary hrabia do niego się wybiera? — No! nie będzie mu to na zdrowie. Ale z resztą cóż mnie do tego. Posag hrabianki nie zmniejszy się dlatego, a stary dziwak nie da się powstrzymać nikomu.

I w tem miał słuszność; bo pani domu, która zbiegła szybko z góry, stanęła teraz obok męża. Spozierając nań zagniewanemi oczyma, zawołała: „Franciszku, co ty chcesz uczynić, pamiętaj przecież o sobie i o mnie."

Pan hrabia, który dopiero tak spokojnie siedział na balkonie, był teraz jakby innym człowiekiem. Krzaczaste jego brwi siwe jeszcze się bardziej ściągały, oczy rzucały błyskawice, usta otwierały się tylko dla krótkich, stanowczych rozkazów. W całej jego postaci malowało się jakieś nerwowe wzruszenie, które się przez gwałtowny ruch rękoma, przy dawaniu rozkazów objawiało.

— Idź na górę Marto, — rzekł szorstko, wytrzymując spokojnie gniewne spojrzenie żony.

— Przecież nie możesz wybierać się na morze, przy tak rozhukanych bałwanach, — zawołała hrabina.

— Tak, jadę.

— I ty myślisz, że ja cię puszczę, — rzekła gwałtownie żona.

— Spodziewam się, — rzekł stary pan, a oczy jego zabłysły gniewnie. — Jakóbie, — dodał obracając się do jednego z stojących marynarzy. — Przybij mocniej ten klin. Tak, dobrze. Teraz wprowadźcie łódź na wodę. Trochę bardziej na prawo, bo mógłbym uderzyć o łazienki.

W ten sposób wydawał ciągle rozkazy, obrócony tyłem do żony, jak gdyby jej tam wcale nie było.

W jej oczach błyszczało oburzenie, lecz hamując się gwałtownie, rzekła łagodnie, kładąc rękę na jego ramieniu:

— Franciszku drogi, tylko ten raz jedyny wysłuchaj mojej prośby. Przecież to jest niepodobieństwem, abyś się mógł puszczać na to wzburzone morze i dojechać do tego rozbitego statku.

— Znam moją łódź, Marto, — odpowiedział stary pan nieco łagodniej, ale stanowczo. — A zresztą widzisz przecież, że wiatr coraz bardziej ustaje. Zależy tylko na tem, aby zręcznie kierować łodzą, a to umiem wybornie. Teraz bądź zdrowa, każ urządzić wygodnie pawilon ogrodowy, na przypadek, gdyby mi się udało ocalić tego biedaka, umieścimy go tam.

To mówiąc podał jej rękę, którą ona z boleścią schwyciła. W tej chwili ukazała się na stoku góry dziewicza postać, z rozpuszczonemi włosami z twarzą rozognioną szybko biegnąca.

— Wuju! wuju! — wołała z daleka. — Nie możesz puszczać się na morze! Nie! nie! chyba, że mnie ze sobą zabierzesz.

Ale stary pan zdawał się wcale nie zważać na nią, i szedł spiesznie ku wodzie.

Marynarze opryskani pianą morską, stali pod kolana we wodzie i trzymali łódź, w którą teraz stary pan z młodzieńczą żywością wskoczył.

— Teraz w imię Boże, w drogę, — zawołał siadając u steru i chwytając w silne dłonie wiosło. — Popchnijcie łódź na lewo, abym mógł płynąć z wiatrem.

Trzech silnych marynarzy, w butach sięgających za kolana, popchnęli ochoczo łódź ku prądowi, żagle się wzdęły, i w mgnieniu oka zniknęła po za piętrzącym się bałwanem, i tylko maszt z czerwoną chorągiewką ukazywał się z pomiędzy fali.

— Szczęśliwie przebył pierwsze uderzenie bałwanu, — rzekł stary Cyryl, kiwając głową.

— Czemu nie pojechał z nim przynajmniej który z was? — zawołała teraz pani głosem stłumionym od łez.

— Jaśnie pan nie pozwolił nam jechać. Gdy jest niebezpieczeństwo woli się sam na nie narażać, — odpowiedział stary Cyryl.

Kornelia, która teraz stanęła przy ciotce, oparła głowę na jej ramieniu i rzewnie płakała.

— To nie jest tak źle, jak się wydaje, proszę jaśnie pani, — rzekł stary marynarz zbliżając się do pań. — Ta łódź może bardzo wiele wytrzymać. Jest to prawdziwa łódź do ratowania, wysmukła i głęboka. Byłbym rad jechał w niej na morze, gdyby jaśnie pan był pozwolił.

Kornelia milczała płacząc, ciotka spozierała ciągle na morze. Łódź znikała coraz bardziej w oddaleniu, unoszona na falach jak łupina orzecha.

— Mój Boże! mój Boże! czemu ten wuj taki uparty? — szeptała Kornelia, — czemu żadna prośba nie zdoła go powstrzymać, gdy widzi grożące komu niebezpieczeństwo?

Ja nie wiem, zawsze był takim, — odpowiedziała krótko ciotka. — Lecz chodźmy na górę, niepotrzebneśmy tutaj, niech go Bóg strzeże.

Z miną, w której się boleść z gniewem mieszała, a nakoniec wyraz rezygnacyi przeważył, udała się hrabina ścieszką prowadzącą do pałacu. Kornelia wzięła ją pod rękę i szła w milczeniu obok niej.

Gdy stanęły na platformie przed pałacem obiedwie mimowolnie spojrzały na morze. Łódź płynęła chyżo po falach i zbliżała się do rozbitego statku.

— Zapomniałyśmy zupełnie, że pan Suwarów czeka na nas na balkonie, — rzekła ciotka, już niby nieco swobodniej.

— Ja przybędę tam później, — rzekła Kornelia, — teraz tak jestem wzruszona, że nie podobno byłoby mi rozmawiać z kapitanem.

I tak rozłączyły się. Hrabina Pahlen weszła na wielkie schody prowadzące na balkon. Kornelia szła dalej do bocznych drzwi prowadzących do jej pokoju. Przechodząc spostrzegła w oknie suteryn, gdzie były izby czeladnie i kuchnia, twarz podeszłego w wieku człowieka.

— Wystawcie sobie, Fedorze, — rzekła do niego, ocierając łzy, — co ten wuj znowu uczynił.

— To już jego zwyczaj, proszę jaśnie pani, — rzekł stary sługa. — Gdy chodzi o ocalenie czyjego życia, nic go powstrzymać nie zdoła. Wiem ja to od dawna.

— Ale co go do tego przywiodło! Fedorze, czy wy nie wiecie tego? — pytała młoda dziewczyna stłumionym głosem, lecz z widoczną ciekawością.

Służący na to pytanie odpowiedział tylko wiele znaczącem spojrzeniem i skinieniem głowy. Kornelia weszła smutna do swego pokoju.

— Jabym tak samo czynił, gdybym miał to, co on na sumieniu, — mruknął do siebie stary Fedor i spozierał ciągle przez otwarte okno na morze.

Tymczasem łódź zbliżała się zwolna do celu. Stary pan siedział u steru podobny do posągu z marmuru. Nawet ruchy rąk jego, gdy przyciągał mocniej liny, aby przez to więcej wiatru napędzić w żagle, niezmieniały tego posągowego wyrazu, bo spokój następujący po nich tem wybitniej się objawiał. Zaiste człowiek ten gardził wszelkiem niebezpieczeństwem, a jego dusza zdawała się tak jedną być tylko myślą opanowaną, że wszystko co ją otaczało, zupełnie jej było obojętnem. A przytem umiał on tak panować nad wzburzonym żywiołem, jak rzadko kto; korzystał tak zręcznie z każdego powiewu wiatru, kierował tak silnie łodzią, że śmiało posuwał się po wzburzonych falach, chociaż one z szumem rzucały się na niego. Była to zaiste niebezpieczna przeprawa, zwłaszcza gdy łódź na otwarte dostała się morze, gdzie bałwany regularniej się wznosiły i wiatr dął silniejszy. Hrabia wstawał czasami z siedzenia, by się przekonać czy wiatr nie zmienił kierunku. Lecz nie, wszystko szło jaknajpomyślniej i fale przybliżały coraz bardziej rozbity statek do łodzi.

Było już około piątej godziny z południa, a słońce jak zwykle w październiku schylało się ku zachodowi. Gdyby hrabia Pahlen zdołał sięgnąć rozbity statek i dostać do łodzi znajdującego się na nim człowieka, mógłby był szczęśliwie powrócić do brzegu, bo wiatr był pomyślny i fale zmniejszyły się zwolna. Gdy już tylko o kilkaset kroków oddalony był od statku, podniósł się i zawołał głośno. Ale nikt mu nie odpowiedział, powtórzył kilkakrotnie swe wołanie, lecz pozostało bez odpowiedzi.

— Omdlały, albo nieżywy, — mruknął hrabia, — zapewne nieżywy, — dodał po chwili.

Świeży prąd wiatru uniósł go bliżej do rozbitego statku. Teraz widział wyraźnie, że tenże był przednią częścią małego okrętu, którego budowa bardzo elegancka i kosztowna podobną była do szybkolotnych statków angielskich lub amerykańskich. Że się jeszcze utrzymywała ta część na powierzchni wody, było to zasługą zapewne tego, kto się na nim znajdował, bo z obu stron było przymocowanych tak zręcznie kilka desek, że przez to uchronioną była od przewrócenia się.

Teraz ujrzał też wyraźnie znajdującą się na nim ludzką postać. Człowiek ten klęczał na środku statku, obejmował rękami jakiś przedmiot, którego nie można było rozpoznać i głowę miał schyloną. Białe, pianą morską okryte długie włosy były jedynem, co hrabia Pahlen mógł z daleka rozróżnić.

Teraz zależało tylko na tem, aby się dostać na statek, co było utrudnionem przez to, że deski sterczały w górę i jak się zdawało, sięgały głęboko w wodę. Hrabia musiał najpierw uchwycić przednią część statku, przymocować do niej łódź swoją, a wtenczas dopiero mógł zbliżyć się do nieznajomego człowieka i przekonać się, czy umarły lub też omdlały tylko. Ale to było właśnie najtrudniejszem zadaniem. Gwałtowne fale mogły uderzyć łódź o rozbity statek, a chociaż hrabia nie potrzebował lękać się o swoją dobrze zbudowaną łódź, można przecież liczyć było na pewne, że rozbity statek, rozleci się przy takiem uderzeniu do szczętu i utonie w głębinach. Gdyby ten nieznajomy był przy zmysłach i oboje mogli sobie dopomagać, wtenczas łatwiej byłoby go ocalić, jednakże bądź jak bądź hrabia postanowił odważyć się na wszystko.

Słońce z przepysznym blaskiem zanurzało się właśnie w morze, gdy hrabia dosięgnął do rozbitego statku. Udało mu się, że bez uderzenia łodzi o statek mógł zarzucić linę

około wystającej deski i w ten sposób przywiązać łódź do niej; żagle pozostawił rozpięte, aby razem łódź i statek pędziły. Teraz wskoczył na pokład. Nie było ani chwili do stracenia, gdyż łódź musiała się napełnić wodą, skoro nie była kierowana sterem, a jej szeroka strona ku bałwanom zwrócona. Hrabia opierając się o deski statku, który drżał za każdem uderzeniem bałwanów jakby się miał rozpęknąć, przybliżył się do nieznajomego i uniósł jego głowę do góry. Lecz jak gdyby ujrzał jakieś nadziemskie zjawisko, odskoczył nagle i słaby ochrypły okrzyk podziwienia wydarł się z jego ust drżących. Upuścił głowę nieznajomego lecz wkrótce podniósł ją znowu wpatrując się z przerażeniem w martwe rysy jego. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oblewały purpurowym blaskiem tę twarz piękną o szlachetnych i wyrazistych rysach, wielka blizna na czole jaśniała krwawo w odblasku czerwonych promieni zachodniej zorzy, niegdyś blond, dziś siwe włosy spadały w nieładzie około nawpół otwartych ust. Wogóle cała ta postać wyglądała jakby co dopiero śmiertelnym ugodzona ciosem.

Hrabia trzymał przez chwil kilka na swych rękach tę głowę i przypatrywał jej się szeroko otwartemi oczyma. Widział on już wielu umarłych Dlaczegóż ten właśnie widok tak straszliwe sprawiał na nim wrażenie? Zapomniał o falach i o grożącem mu niebezpieczeństwie, pogrążony w patrzeniu na to martwe oblicze.

Nakoniec powstał i spojrzał wokoło siebie. Słońce już było zaszło, mgła niebieskawa zaległa nad wzburzonemi falami, a głębiny pomiędzy piętrzącemi się bałwanami otwierały się niby groby przepaściste. Hrabia obejrzał się teraz za swą łodzią, lecz z piersi jego wyrwał się znowu okrzyk przerażenia. Łódź oderwała się od rozbitego statku i już przeszło o sto kroków płynęła z rozpiętemi żaglami na falach.

— Niech się dzieje wola Boża! — zawołał hrabia a jego spojrzenie podniosło się ku zarumienionemu ostatniemi promieniami niebu. — Dziś właśnie rocznica owego dnia straszliwego. To oblicze zsyła mi Bóg w ostatniej godzinie. Mój los rozstrzygniony. Nie ujrzę już więcej mej rodziny!

II.

Hrabina Pahler, z domu kurlandzka baronówna Welten, należała do rzędu tych kobiet, które za szczyt doskonałości niewieściej poczytują umiejętności ukrywania wszelkich uczuć swego serca pod maską zimnego spokoju i dumnej obojętności. To też i teraz umiała ukrywać doskonale nietylko obrazę, jaką była dotkniętą przez męża, ale i śmiertelną o niego obawę. Siedziała na balkonie obok kapitana Suwarowa, rozmawiała z nim o rozmaitych obojętnych przedmiotach, także o dziwnej manii swego małżonka, ratowania nawet nieznajomych mu ludzi, i tylko chwilowe drżenie rąk, lub zmrużanie oczu zdradzało czasem wewnętrzne jej wzruszenie. Zajęła teraz to samo miejsce obok lunety, na którem przed godziną zaledwie mąż jej siedział i często patrzała przez nią.

Kornelia ukazała się tylko na kilka chwil na balkonie. Zaledwo usiadła kiedy ją służąca Kasia odwołała. Nie było to frapującem, bo młoda hrabianka, która dopiero od dwóch lat znajdowała się w domu wujostwa, miała się tu uczyć gospodarstwa i wyręczała ciotkę w całym zarządzie domowym. Dzisiaj rzekła wprawdzie ciotka do niej dość cierpko:

— Odłóż wszystkie zajęcia domowe i pozostań tu z nami.

Lecz młoda dziewczyna zdawała się niezważać na tę dobrą radę.

Było właśnie około zachodu słońca, kapitan opowiadał dowcipnie o jakimś szkandalu zaszłym temi dniami w Odesie, gdy hrabina, która słuchając go,ciągle przez lunetę patrzała na morze, wydała okrzyk zadziwienia i przestrachu. Spostrzegła bowiem, że łódź jej męża rozłączyła się od rozbitego okrętu i sama po falach płynęła. Jednakże i teraz jeszcze umiała zapanować nad sobą.

— Może się mylę, — rzekła wstając i przecierając oczy, — słońce tak olśniewa nieznośnie, patrz pan przez lunetę, panie Suwarow.

Młody człowiek pospieszył przyłożyć oko do szkiełka.

— Cóż to jest! — zawołał, — nie widzę nikogo na łodzi, a na rozbitym statku widać dwie osoby obok siebie.

— Więc się nie omyliłam! — zawołała hrabina. — Życie mego męża jest teraz w ręku Boga, który go chyba cudem ocalić może! Trzeba czekać, — dodała ponurym głosem. — Spodziewałam się tego zawsze, że przypłaci życiem tę swoją szaloną manią, panie kapitanie, — dodała spokojniej. — W tem domu będą wkrótce okropne zajścia, nie wezmę panu za złe, jeżeli się oddalisz zawczasu.

— Ależ ani myślę o tem, — odrzekł żywo kapitan, — chyba, że pani życzysz sobie wyraźnie pozbyć się mej obecności. Pan hrabia jest w wielkiem niebezpieczeństwie, to widzę wyraźnie, lecz czy nie możnaby mu wysłać kogo na pomoc?

— To trudno, — rzekła hrabina smutnie, schylając głowę. — Żaden z rybaków i żeglarzy nie odważą się o tej porze puszczać na wzburzone morze, a zresztą ich czołna i łodzie są za słabe. A statku do ratunku z miasta nie chcianoby nam przysłać, bo potrzebują go tam sami dla okrętów przybywających do portu. Lecz to prawda, że nie powinniśmy oczekiwać bezczynnie nieszczęścia, które nas ma spotkać, trzeba działać ile to w naszej mocy.

I to mówiąc szarpnęła gwałtownie za sznur od dzwonka, który z balkonu aż do suterenu prowadził. Na ten dźwięk ukazał się wkrótce na balkonie stary Fedor, ulubiony służący i powiernik hrabiego.

— Fedorze! — zawołała hrabina z niezwykłą sobie żywością, — biegnij co prędzej do miasta, zwołaj na ratunek hrabiego, kogo tylko zdołasz, obiecaj wspaniałą nagrodę temu, kto się odważy wyjechać za nim na morze i niechaj na wybrzeżu pozapalają jak można najwięcej świateł.

A potem zbiegła po schodach ciągle nowe wydając rozkazy.

Tymczasem kapitan pozostał znowu sam na balkonie. Młody ten człowiek był potomkiem z pobocznej linii generała Suwarowa. Ojciec jego spokojny, dobroduszny człowiek, posiadał kilka pięknych włości w okolicy Odesy i tego jednego tylko miał syna. Młody Suwarow oddany był do kadetów w Petersburgu, potem przez niejaki czas był kamerjunkrem na dworze carskim, a wstąpiwszy do wojska prędko dosłużył się stopnia kapitana. Jednak od najmłodszych lat odznaczał się pomiędzy swymi kolegami, niezmierną lekkomyślnością i złemi obyczajami, a w wojsku tak się zachowywał, że kilka razy grożono mu dymisyą, jednakże przez wzgląd na ojca ułaskawiono go i pozostawiono w czynnej służbie. Nakoniec przebrała się miarka. Zajście jakieś niehonorowe w winiarni doszło do uszu komenderującego jenerała i Suwarow został wydalony z wojska. Gdy powrócił do domu okazało się, że gdyby ojciec popłacił wszystkie jego długi, byłby do szczętu zrujnowanym. A płacić chciał ojciec, gdyż był dość zacny i uczciwy, chociaż syn głupcem go po cichu nazywał. Musiano więc na czyste dotychczas hipoteki dóbr znaczne zaciągnąć długi. Ale ojciec zaczął teraz obchodzić się z nim surowo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Humor i satyra.

Niedobrani.

Bajeczka z folwarku.

Pan Achilles Koguciński
Herbu Kukuryku,
Żył jak basza w gronie żon swych
Na dworskim śmietniku.
Każda była panu wierna,
Każda skromna, luba,
Choć mąż i nogami zdeptał,
I natargał czuba...

Au contraire pan mąż... Ten nie był
Skrupulatny taki,
Choć się obca przybłąkała —
Sunął w koperczaki.
Miał z tej racyi nawet zajścia
Z wójtowym kogutem...
Lecz ich Kaśka rozbrajała
Miotłą albo butem.

A była też tam u wójta
Piękność niezrównana,
Która codzień po pod kurnik
Szła na spacer z rana,
Z domu była panna Lubcia
Gąsiorowiczówna...
Biała, tęga — żadna kura
Takiej nie dorówna!....

Dwoje ocząt miała czarnych,
A choć troszkę kusa,
Żółty dzióbek aż się prosił,
Żeby brać całusa!
Satysfakcya była patrzeć,
Gdy szła bałamutka,
Jakie pulchne miała piersi,
I okrągłe udka!

Sam pan kucharz od dziedzica
Mlaskał z apetytem:
„Coby to był za przysmaczek
I buraczki przy tem!"
Ba! w kim taka smaczna gąska
Nie rozpęta chuci?
Cóż dziwnego — że i basza
Rozgorzał koguci...

Gdy szła — serce w nim się tłukło,
Aż leciało pierze...
Czuł nieborak, że go miłość
Strasznie do niej bierze!
Wreszcie — by go o tchórzostwo
Nie podejrzywano —
Przykogucił się do Lubci
Raz we wtorek rano.

Utwierdziwszy monokl w oku,
Brząknął ostrogami —
(Taki „szyk" naiwne panny
Czasem i omami!)
I rzekł: „Pardon mademoiselle!
„Excusez łaskawie!
„Wolno pani towarzyszyć
„W przechadzce po trawie?"

„Merçi beaucoup!" dygła panna,
I „gę gę" — „ko ko ko" —
Gadu gadu się rozhowor
Rozwinął szeroko...
Wreszcie donżuan nie mógł stłumić
Serdecznego krzyku,
Kląkł, cylinder zdjął — i zapiał
Czule: „Kukuryku!

„Kobieto! — rzekł — puchu gęsi!
„Ty pulchna istoto!
„Wdzięków ci zazdroszczą kury...
„Lecz ty nie dbaj o to!
„Patrz! ja Achil Koguciński
„Skrą miłości płonę!
„Pozwól, bym cię do kurnika
„Powiódł jako żonę!"

„Bien!" odrzekła — „ale pozwól
„Mości kawalerze,
„Źle, w małżeństwie, gdy ze żoną
„Mąż się nie dobierze...
„Nim ci oddam moją nogę,
„I stale polubię,
„Musisz poddać się jegomość
„Przedtem małej próbie.

„Drobiazg! Chcąc miłości dowieść
„Kochanku jedyny,
„Ani krok mnie nie odstąpisz
„Ot — przez pół godziny...
„Gdy wypełnisz ten warunek
„Ściśle co do joty,
„Po przechadzce ci natychmiast
„Oddam wianek cnoty."

„Parole d'honneur!" krzyknął amant
W miłosnym zapale,
Aż mu warem krwi nabiegły
Pod szyją korale...
I już pewny, drepce z miną
Grand tryumfatora,
W tem — nad brzegiem głębokiego
Stanęli jeziora...

Chlaps! panienka lekkim rzutem
Wskoczyła do wody:
„Pójdźże — mówi — dałeś słowo
„Kawalerze młody!
„To codzienny jest mój spacer...
„Proszę! popłyń ze mną,
„Będziem dalej prowadzili
„Gawędkę przyjemną!"

Przerażony wrzasnął panicz:
„Ha! cóż za kawały!?"
Trzepnął skrzydłem aż się z gniewu
Zakogucił cały,
Wrzeszcząc, aż mu krwią nabiegły
Oczy jak dwie wiśnie:
„Jesteś głupia gęś! Rozumiesz?
„Niech cię dunder świśnie!"

Lecz wracając do kurnika
Dumnie i wyniośle,
Mruknął sobie już z relfeksyą:
„Dobrze ci tak — ośle!
„Jeśli życia swego nie chcesz
„Na zawsze mieć strutem,
„Nie leź do arystokracyi —
„Gdyś chłopskim kogutem!"

• • •

O czarcie, którego żandarmi złapali.

(Na tle prawdziwego zdarzenia).

„Ratuj mię, święty Antoni!
A słowo Pańskie ciałem się stało,
Coś jakby na mnie z krzaka wołało —
I teraz za mną coś goni!..."

Tak krzyczy Wojciech i spieszy drogą,
Kijem w około wywija —
W tem się o kamień potyka nogą —
I nos nieborak rozbija.

Nie wiedząc biedny, co się z nim dzieje,
Jeszcze się bardziej udziera —
W tem jakieś widmo w głos się rozśmieje
I tak doń usta otwiera:

„Co ci to, chłopie, że tak uciekasz?
Czyś co zobaczył strasznego?
Co jest przyczyną, że tak narzekasz?
Wstań, nie czyń z siebie głupiego!"

I coraz bliżej doń się przysuwa
Czerwona postać straszydła —
I płaszcz ognisty na ziemię zsuwa,
Aby roztoczyć swe skrzydła.

Roztoczył upiór — tuż nad głową
Leżącej w błocie ofiary —
Chłop drży bojaźnią przejęty nową
Na widok strasznej poczwary...

„Uhuhu! uhu! — zaryczał Czarny
I trzykroć trzasnął skrzydłami —
Zlękły się w lesie drzemiące sarny,
Poczęły zmykać stadami.

Chłop leży w błocie, nic się nie rusza,
Ciągle na pomoc przyzywa,
Lecz ani żywa jawi się dusza,
Ni żaden święty przybywa...

Szatan z rękawa cyrograf dobył
I tak do chłopa zagada:
Abyś się chłopie biedy swej pozbył,
Na to jedyna jest rada:

Na tym papierze, który ci daję,
Masz mi zapisać swą duszę,
A jak nie zrobisz, co ci ja raję,
To cię na miejscu uduszę."

To wyrzekłszy Czarny, ręką łapie
Biednego Wojtka za szyję
I pazurami ostremi drapie,
Depce nogami i bije.

„Dawaj mi duszę, albo pieniądze!
Ja wiem, tyś, chłopie, bogaty,
Zaspokój moją szatańską żądzę,
Inaczej, nie ujrzysz chaty!...

„Uhuhu! uhu! — wciąż nad nim ryczy,
Strasznemi trzaska skrzydłami —
I pewien swojej rzadkiej zdobyczy
Dusi Wojciecha szponami...

W tem dwóch żandarmów nagle wyskoczy
Co tu za drzewem siedzieli
I co on broił, na własne oczy
Jak nadokładniej widzieli.

„A tuś mi ptaszku!" — krzyknęli oba
I czarta za łeb złapali. —
„My na takiego, jakeś ty, draba,
Już od miesiąca czychali."

Więc łańcuszkami skuwszy mu ręce,
Do wsi go z chłopem zabrali
I tam u wójta o całej męce
Protokół wielki spisali.

* * *

Bezinteresowny.

— O! proszę pani, ja nie jestem taki interesowny jak pani sądzi. Kiedy kocham, nie pytam się nigdy: kim jest pani ojciec, czy pani ma posag, chyba... że chce się żenić.

* * *

W restauracyi kolejowej.

— Panie restauratorze, jestem głodny jak wilk, a tego kotleta doczekać się nie mogę.

— Bądź pan spokojny, pociąg ma dwugodzinne opóźnienie.

* * *

Pomiędzy chłopcami.

— Jak dorosnę, to zostanę lekarzem. Acha!

— A ja zostanę proboszczem i pochowam wszystkich twoich pacyentów.

* * *

W dżungli indyjskiej.

— Panie, pyta Anglik konduktora pociągu mającego środkiem dżungli dowieść pasażerów do gór Himalajskich — czy na czas staniemy na miejscu?

— Niezawodnie, jeżeli tylko tygrysy maszynisty prowadzącego pociąg nie poźrą.

* * *

Na egzaminie lekarskim.

— Gdybyś się pan znalazł w mieście, w którem wybuchła epidemia, jakie zastosowałbyś pan środki zabezpieczające.

— Ja?... Wyjechałbym zaraz do innego miasta.

* * *

W salonie.

Młodzieniec bawi naiwną panienkę.

— Prawda pani, że lato tegoroczne całkiem niepodobne do zeszłorocznego?...

— O, tak!... Swoją drogą niech pan pomówi z mamą...

* * *

Rzadki okaz.

W pewnem muzeum przewodnik, zatrzymawszy się przed jakąś starą, zardzewiałą armatą, objaśnia ciekawych:

— To jest armata z czasów Aleksandra Macedońskiego...

— Ależ wtedy jeszcze armat nie było — przerywa mu ktoś z publiczności.

— Tem bardziej okaz rzadszy...

* * *

Nie złe pojęcie.

Pryncypał: — Na czem się właściwie zasadza buchalterya amerykańska?

Pomocnik: — Prawdopodobnie na tem, iż prowadząc ją, ucieka się ostatecznie do Ameryki...

Nakładem i drukiem „Pracy" Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktor odpowiedzialny: Za dział polityczny, wiadomości, dział illustrowany i za dział ogłoszeń p. Bolesław Rakowski z Poznania.